

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



# **Dzieje Tristana i Izoldy**

**Odtworzył Joseph Bédier**

# I

## DZIECIĘCTWO TRISTANA

*Du waerest zware baz genant:  
Juvente bele et la riant!<sup>1</sup>  
Gotfryd ze Strasburga*

Panowie miłościwi, czy wola wasza usłyszeć piękną opowieść o miłości i śmierci? To rzecz o Tristanie i Izoldzie królowej. Słuchajcie, w jaki sposób w wielkiej radości, w wielkiej żałobie miłowali się, później zaśie pomarli w tym samym dniu, on przez nią, ona przez niego.

Za dawnych czasów król Marek panował w królestwie Kornwalii. Dowiedziawszy się, iż nieprzyjaciele niepokoją go, Riwalen, król ziemi lońskiej, przebył morze, aby mu spieszyc z pomocą. Służył mu mieczem i radą nie gorzej od szczerego lennika i tak wiernie, iż Marek dał mu w nagrodę piękną Blancheflor, swą siostrę, którą król Riwalen miłował przedziwną miłością.

Pojał ją za żonę w klasztorze tyntagielskim. Ale ledwie ją zaślubił, doszła go wieść, iż dawny nieprzyjaciel, diuk Morgan, spadłszy na ziemię lońską pustoszy jego grody, pola i miasta. Riwalen narządził pośpiesznie okręty i powiódł Blancheflor, wówczas już brzemienną, ku swej dalekiej ziemi. Przybił do lądu naprzeciw zamku w Kanoel, powierzył królowę pieczy marszałka Rohała, którego wszyscy dla jego wierności wołali pięknym mianem Rohałt Dzierzący Słowo; następnie zebrawszy baronów odjechał na wojnę.

Blancheflor czekała go długo. Niestety, nie miał wrócić. Pewnego dnia dowiedziała się, że diuk Morgan zabił go zdradą. Nie płakała po mężu; nikt nie usłyszał krzyku ani lamentu; ale członki jej stały się wątłe i słabe; dusza żądała pilnym pragnieniem wydostać się z ciała. Darmo Rohałt silił się pocieszyć.

– Królowo – mówił – nic się nie zyska przydając żalobę żalobie. Żali każdemu, kto się rodzi, nie jest pisane umierać? Niech Bóg przytuli umarłe, a ochrania żywe!...

Ale ona nie chciała słuchać. Trzy dni czekała, aż podąży za swym drogim panem. Czwartego dnia wydała na świat syna; za czym wzięwszy go w ramiona:

– Synu – rzekła – długo pragnęłam cię ujrzeć; i widzę najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek niewiasta nosiła w żywocie. Smutna zległam, smutne jest to pierwsze święto, które ci wyprawiam, z twojej przyczyny smutno mi jest umierać. Ze więc przybyłeś na ziemię przez smutek, imię twoje będzie Tristan.

Rzekłszy te słowa ucałowała go i, ucałowawszy, natychmiast umarła.

Rohałt Dzierzący Słowo przygarnął sierotę. Już ludzie diuka Morgana wdzierali się do zamku; w jakiz sposób Rohałt zdołałby długo wytrzymać bitwę? Słusznie powiadają: „Insza rzecz dzielność, insza szaleństwo”, mus mu był zdać się na łaskę diuka Morgana. Ale z obawy, by Morgan nie zamordował Riwalenowego syna, marszałek podał go za własne dziecię i chował ze swymi.

Gdy minęło chłopięciu siedm lat i przyszedł czas, by go odebrać niewiastom, Rohałt powierzył Tristana roztropnemu nauczycielowi, dzielnemu giermkowi imieniem Gorwenal. Gorwenal nauczył go w niewiele lat wszelakiej sztuki, która przystoi baronom. Nauczył go władać kopią, mieczem, tarczą i łukiem, miotać kamienne pociski, brać jednym skokiem co najszersze rowy; nauczył nienawidzić wszelakiego kłamstwa i zdrady, wspomagać słabych, dotrzymywać słowa; nauczył rozmaitych melodii, gry na harfie i sztuki myśliwskiej. Kiedy chłopiec dosiadł konia wśród młodych giermków, rzekłbyś, iż koń jego i rynsztunek, i on tworzą jedno ciało i nigdy nie rozstają się z sobą. Widząc Tristana tak szlachetnym i dumnym, szerokim w barach, szczupłym w

---

<sup>1</sup> Zapewne nazwano by cię lepiej:  
Piękna Młodości uśmiechnięta!  
(Przeł. Z. Czerny)

pasie, mocnym, wiernym i odważnym, wszyscy sławili Rohała, iż ma takiego syna. Zasię Rohałt wspominając Riwalena i Blanchefflor, których młodość i wdzięk odżyły w pacholećciu, miłował Tristana jak syna, a tajemnie czcił jako pana.

Owóż zdarzyło się, iż wydarto mu całą jego radość w dniu, w którym kupcy norwescy zwabiwszy Tristana na statek uprowadzili go jako piękną zdobycz. Podczas gdy mknęli ku nieznanym ziemiom, Tristan miotał się niby młody wilczek pochwycony w pułapkę. Ale dowiedziona to prawda i marynarze ją znają: morze nierade nosi zdradzieckie statki i nie sprzyja rabunkom i zradom. Podniosło się wściekle, spowilo statek w ciemności i gnało go przez ośm dni i ośm nocy na oślep. Wreszcie marynarze ujrzeni poprzez mgłę brzeg najeżony urwistymi skałami i rafami, o które omal nie strzaskali statku. Schwycił ich żal; poznając, iż gniew morza ma za źródło owo porwane w złą godzinę pacholę, uczynili ślub, iż uwolnią Tristana, i spuścili czółno, aby go wysadzić na brzeg. Natychmiast opadły wiatry i bałwany, niebo zabłysło i podczas gdy statek norweski znikał w oddali, uśpione i pogodne fale zanosły czółno Tristana na piaszczyste wybrzeże.

Z wielkim wysiłkiem wdrapał się na brzeg i ujrzał falisty i pusty step, poza którym rozciągał się bezkresny las. Jął lamentować rozpaczając za Gorwenalem, za Rohałtem, ojcem swoim, i za ziemią lońską. Wtem odległe dźwięki łowieckiego rogu i okrzyki rozgrzały jego serce. Na skraju lasu ukazał się piękny jelen. Sfora psów oraz myśliwi mknęli w jego tropy z wielkim hałasem okrzyków i trąb. Ale gdy już ogary wieszały się u nóg, zwierzę o kilka kroków od Tristana ugięło się w kolanach i wydało ostatni dech. Jeden z myśliwych wygodził mu oszczepem. Podczas gdy myśliwi, ustawieni w krąg, otrębywali zwycięstwo, Tristan, zdumiony, ujrzał, jak wielki łowczy nacina szerokim kręgiem gardziel jelenia, jak gdyby ją miał oderżnąć. Wykrzyknął:

– Co czynisz, panie?! Godziż się kaleczyć tak szlachetne zwierzę kształtem zarżniętego wieprza? Czy taki jest obyczaj tego kraju?

– Miły bracie – odparł łowczy – i cóż cię dziwi? Tak, oddzielam najpierw głowę, następnie poćwiartuję ciało na cztery części, które, zawieszona u łęku, zaniesiemy do króla Marka, naszego pana. Tak czynimy; tak od czasu najdawniejszych myśliwców zawsze poczynali sobie rycerze Kornwalii. Jeśli wszelako znasz jakiś chwalebniejszy obyczaj, pokaż go nam; weź ten nóż, miły bracie, pouczymy się chętnie.

Za czym Tristan ukląkł i odarł ze skóry jelenia, nim go poćwiartował; następnie pociął zwierzę na części, zostawiając, jak się godzi, kręgosłup obnażony do czysta; wreszcie oddzielił wyborowe części: pysk, ozór i żyłę sercową.

A myśliwi i psiarkowie, nachyleni dokoła, patrzyli zachwyceni na jego robotę.

– Przyjacielu – rzekł starszy łowczy – piękne to obyczaje; w której ziemi nauczyłaś się ich? Powiedz nam twój kraj i imię.

– Zacny panie, wołają mnie Tristan, nauczyłem się zaś tych obyczajów w Lonii, ojczyźnie mojej.

– Tristanie – rzekł łowczy – niech Bóg nagrodzi ojca, który cię wychował tak zacnie! Jest to z pewnością jaki baron bogaty i potężny?

Ale Tristan, który umiał w porę mówić i w porę milczeć, odparł chytrze:

– Nie, panie, ojciec mój jest kupcem. Opuściłem tajemnie jego dom na okręcie, który jechał z towarami, chciałem bowiem poznać, jak żyją ludzie w cudzoziemskich krajach. Ale jeśli mnie przyjmiesz między swych myśliwych, pójdę z wami chętnie i nauczę cię, zacny panie, innych jeszcze arkanów myśliwskich.

– Dobry Tristanie, dziw mi, że istnieje ziemia, w której synowie kupców znają to, czego gdzie indziej nie umieją synowie rycerzy. Ale pójdź z nami, skoro pragniesz, i bądź nam miłym gościem. Zaprowadzimy cię do króla Marka, naszego pana.

Tristan skończył oprawiać jelenia. Rzucił psom serce, głowę i wnętrzności i nauczył myśliwców, jak należy narządzać psom. strawę i jak ją otrębywać. Następnie zasadził na widły pięknie podzielone części i powierzył je rozmaitym myśliwcom: jednemu głowę, drugiemu czomber i połędwicę; innemu łopatki i udźce; innemu krzyżówkę. Nauczył, jak trzeba ustawiać się parami, aby jechać w pięknym porządku, wedle szlachetności sztuk zwierzyny sterczących na widłach.

Wówczas puścili się w drogę gwarząc, aż wreszcie ujrzeni bogaty zamek. Otaczały go łąki, sady, strumienie, rybne stawy i uprawne pola. Liczne okręty wpływały do portu. Zamek wznosił się nad morzem, piękny i silny, dobrze obwarowany przeciw wszelkiej napaści i machinie wojennej; główną zaś jego wieżę, niegdyś wzniesioną przez olbrzymów, zbudowano z wielkich i pięknie obrobionych ciosów, ułożonych jak szachownica z pól zielonych i lazurów.

Tristan zapytał o miano zamku.

– Miły chłopcze, nazywają go Tyntagiel.

– Tyntagielu – wykrzyknął Tristan – błogosławion bądź od Boga i błogosławieni twoi mieszkańcy! Trzeba wam wiedzieć, panowie miłośnicy, iż tam to niegdyś, w wielkim weselu, ojciec jego Riwalen zaślubił Blanchefflor, siostrę króla Marka. Ale, niestety, Tristan o tym nie wiedział!

Gdy przybyli do stóp wieży, fanfary myśliwców ściągnęły ku bramie baronów i samego króla.

Skoro wielki łowczy opowiedział całą przygodę, Marek dziwował się pięknemu porządkowi orszaku, zmyślnie rozebranemu jeleniowi oraz wielkiej dworności tych myśliwskich obyczajów. Ale zwłaszcza dziwował się pięknemu cudzoziemskiemu pacholećciu i oczy jego nie mogły się odeń oderwać. Skąd brała się w nim ta nagła

czułość? Król pytał swego serca i nie mógł zrozumieć. Panowie miłośniwi, to krew jego wzruszała się i mówiła w nim i miłość, którą żywił niegdyś do Blancheflor, swej siostry.

Wieczorem, skoro uprzątnięto stoły, rybał pewien walijski, mistrz w swojej sztuce, wysunął się między zebranych baronów i zaczął śpiewać opowieści przy harfie. Tristan siedział u stóp króla i kiedy harfista brząknął nową melodię, Tristan ozwał się w te słowa:

– Mistrzu, otoć piosenka piękna ponad inne: niegdyś dawni Bretoni ułożyli ją dla wślawienia miłości Graelenta. Nuta jest słodka i słodkie też są słowa. Uczony masz głos, mistrzu, wyciągajże go pięknie.

Walijczyk prześpiewał, po czym rzekł:

– Dziecko, i cóż ty możesz rozumieć o kunszcie instrumentów? Jeśli kupcy z ziemi lońskiej uczą także synów gry na harfie, na cytrze i na gęślikach, wstań oto, weź harfę i pokaż swą biegłość.

Tristan wziął harfę i zaśpiewał tak wdzięcznie, że baronowie rozrzewnili się słuchając. I Marek podziwiał harfistę przybyłego z owego kraju lońskiego, dokąd niegdyś Riwalen uwiózł był Blancheflor.

Skoro pieśń przebrzmiała, król milczał długo...

– Synu – rzekł wreszcie – błogosławiony niech będzie mistrz, który cię uczył, i ty sam błogosławiony bądź od Boga! Bóg miłuje dobrych śpiewaków. Głosy ich i głos lutni przenikają serca ludzi, budzą drogie wspomnienia i dają zapomnieć niejedną żalność i niejedną przewinę. Zostań długo przy mnie, przyjacielu! Przybyłeś do tej siedziby ku naszej radości.

– Chętnie będę ci służył, panie – odparł Tristan – jako twój lutnista, myśliwiec i lennik.

Tak czynił trzy lata, w ciągu których wzajemna czułość wzrastała w ich sercach. W dzień Tristan towarzyszył Markowi na sądy lub łowy, zaś w nocy, ponieważ sypiał w komnacie królewskiej wśród jego poufałych i wiernych, brząkał mu na lutni, kiedy król był smutny, aby usmierzyć zgrzyoty. Baronowie widzieli go radzi, a zwłaszcza, jak ta historia was pouczy, marszałek dworu, Dynas z Lidanu. Ale bardziej czule niż baronowie i niż Dynas z Lidanu miłował go król. Mimo ich czułości Tristan nie mógł się pocieszyć, iż postradał ojca swego, Rohałta, i nauczyciela Gorwenala, i ziemię lońską.

Panowie miłośniwi, bazarzowi, który chce być luby słuchaczom, przystoi unikać zbyt długich rozwodzeń.

Materia tej opowieści dość jest piękna i obfita – na cóż zdałoby się ją wydłużać? Powiem tedy pokrótce, jak mnogo nabłędziwszy po morzach i łądach Rohałt Dzierżący Słowo przybył do Kornwalii, odnalazł Tristana i pokazując królowi karbunkuł, którym ów obdarował był niegdyś Blancheflor w kosztownym darze weselnym rzekł:

– Królu Marku, otoć Tristan loński, twój siostrzeniec, syn siostry Blancheflor i króla Riwalena. Diuk Morgan trzyma jego ziemię wielkim bezprawiem; czas, aby wróciła do prawego dziedzica.

I powiem krótko, jak Tristan, otrzymawszy od wuja oręż rycerski, przebył morze na kornwalijskich statkach, dał się poznać dawnym wasalom ojcowskim, wyzwiał mordercę Riwalenowego, zabił go i odzyskał ziemię.

Następnie pomyślał, iż król Marek nie zdoła już żyć szczęśliwie bez niego, że zaś szlachetne serce wskazywało mu zawsze najzaszczytniejszą drogę, zwołał swych hrabiów i baronów i tak rzekł:

– Panowie lońscy, odzyskałem ten kraj i pomściłem króla Riwalena za pomocą bożą i waszą. Tak więc spłaciłem ojcu, co mu się należało. Ale dwaj ludzie, Rohałt i król Marek z Kornwalii, przygarnęli sierotę i wspomogli zbłąkane pachole – ich również trzeba mi nazywać ojcami. Żali i tym podobnie nie godzi mi się wyświadczyć słusznego prawa? Owóż szlachetny człowiek ma dwie rzeczy, które mu przynależą: swoją ziemię i ciało. Zatem temu oto Rohałtowi opuszczę ziemię: ty, ojczu, będziesz ją dzierżył, a twój syn po tobie. Królowi Markowi opuszczę me ciało: rzucę ten kraj, mimo iż mi jest drogi, i pójdę służyć memu panu Markowi z Kornwalii. Taka jest moja myśl, ale wy jesteście moi wierni lennicy, wy, panowie lońscy, i winni mi jesteście radę; jeśli więc który z was chce mi wskazać inną jaką drogę, niech powstanie i przemówi!

Ale wszyscy baronowie pochwalili go ze łzami i Tristan zabierając z sobą Gorwenala odpłynął ku ziemi króla Marka.

## MORHOŁT Z IRLANDII

*Tristrem, seyð: „Ywis,  
Y wil defende It as knizt.”<sup>2</sup>*  
Sir Tristram

Kiedy Tristan wrócił, zastał Marka i całą baronię okrytych grubą żałobą. Król Irlandii uzbroił flotę, aby spustoszyć Kornwalię, jeśli Marek będzie się wzbraniał, jak czynił od piętnastu lat, złożyć haracz niegdyś płacony przez jego przodków. Otóż wiedzcie, iż mocą dawnych traktatów Irlandczycy mogli ściągnąć z Kornwalii jednego roku trzysta funtów miedzi, drugiego roku trzysta funtów czystego srebra, zaś trzeciego trzysta funtów złota. Ale kiedy przychodził czwarty rok, uwozili trzystu młodych chłopców i trzysta młodych dziewcząt w wieku piętnastu lat, wybieranych losem spośród rodzin Kornwalii. Owóż tego roku, jako posła swego zlecenia, król wyprawił do Tyntagielu olbrzymiego rycerza Morhołta, którego siostrę był zaślubił i którego nikt nie mógł zwyciężyć w bitwie. Tedy król Marek opieczętowanymi listy zwołał na dwór wszystkich baronów swej ziemi, aby zasięgnąć ich rady.

W oznaczonym dniu, kiedy baronowie zgromadzili się w sklepionej sali pałacu, a król Marek zasiadł pod baldakinem, Morhołt przemówił tak:

– Królu Marku, usłysz po raz ostatni zlecenie króla Irlandii, mego pana. Upomina się, abyś wreszcie zapłacił mu daninę, którą jesteś winien. Za to, że zbyt długo się ociągałeś, nakazuje, abyś wydał tego samego dnia trzystu młodych chłopców i trzysta młodych dziewcząt w wieku piętnastu lat, wybranych losem spośród rodzin Kornwalii. Statek mój, stojący na kotwicy w porcie Tyntagielu, zabierze ich, iżby byli naszymi niewolnikami. Wszelako – a wyłączam od tego jedynie ciebie, królu Marku, jako się godzi – jeśli który z twoich baronów chce dowieść w bitwie, że król Irlandii ściąga tę daninę wbrew prawu, przyjmuję wyzwanie. Który z was, panowie kornwalijscy, chce walczyć za swobodę tego kraju?

Baronowie spoglądali na siebie ukradkiem, po czym opuścili głowy. Ten i ów mówił sobie: „Widzisz, nieszczęśniku, postawę Morhołta z Irlandii – mocniejszy jest niż czterech silnych ludzi. Popatrz na jego miecz; nie wiesz, iż czarami swymi strącił on głowy najśmielszych szermierzy od czasu, jak król Irlandii śle przez tego olbrzyma swe wyzwanie w ziemie lenne? Chudziaku, chcesz szukać śmierci?! I na cóż kusić Boga?” Drugi myślał: „Żali wychowałem was, drodzy synkowie, do służby i niewoli, a was, drogie córuchny, do nierządu? Ale śmierć moja nie ocalałaby was.” I milczeli. Morhołt rzekł jeszcze:

– Który z was, panowie Kornwalijscy, chce przyjąć wyzwanie? Ofiaruję mu piękną bitwę. Od dziś za trzy dni przybijemy na barkach do Wyspy Świętego Samsona, wprost naprzeciw Tyntagielu. Tam rycerz wasz i ja będziemy walczyć w pojedynkę, chwała zaś, iż pokusił się o bitwę, spłynie na całe jego krewieństwo. Milczeli wszyscy. Morhołt zaś podobny był białozorowi wpuszczonemu do klatki z drobnym pactwem – skoro go ujrzą, wszystkie oniemiają.

Morhołt przemówił po raz trzeci:

– A więc, zacni panowie z Kornwalii, skoro ten pomysł zda się wam najszlachetniejszy, ciągnijcie swoje dzieci losem, a ja je zabiorę. Ale nie sądziłem, iżby w tym kraju mieszkali sami niewolnicy.

Wówczas Tristan ukląkł u nóg króla i rzekł:

– Królu i panie, jeśli łaska twoja użyć mi zezwolenia, wydam mu bitwę.

Próżno król Marek chciał go odmówić. Był tak młodym rycerzem, na co zdało mu się męstwo? Ale Tristan dał zakład Morhołtowi, Morhołt zaś przyjął go.

W pomienionym dniu Tristan stanął na płacie czerwonego jedwabiu i dał się zbroić na wielką przygodę. Przywdział pancerz i hełm z bajcowanej stali. Baronowie płakali z litości nad śmiałkiem i ze wstydu nad samymi sobą.

– Ach, Tristanie – powiadali – śmiały baronie, godny młodzieńcze, czemuż ja raczej, miał ciebie, nie podjąłem tej bitwy? Śmierć moja mniejszą żałobę ściągnęłaby na tę ziemię!

Dzwony dzwonią i wszyscy z rodu baronów i z pomniejszego ludu, starcy, dzieci i kobiety, płacząc i modląc się odprowadzają Tristana na wybrzeże. Mieli jeszcze nadzieję, nadzieja bowiem w sercu ludzi wyżywi się byle jaką strawą.

---

<sup>2</sup> Tristan rzekł: „Ywis,  
Będę tego bronił jak rycerz.”  
(Przeł. Z. Czerny)

Tristan wszedł sam do łodzi i pomknął ku Wyspie Świętego Samsona. Ale Morhołt rozpiął u masztu żagiel z bogatej purpury i pierwszy przybył do wyspy. Tristan, uderzywszy o ląd, odepchnął nogą łódź na morze.

– Wasalu, co czynisz? – rzekł Morhołt. – Dlaczego jak ja nie umocowałeś łodzi liną?

– Wasalu, po co? – odparł Tristan. – Jeden tylko z nas obu powróci żyjący; żali jedna barka nie wystarczy? I obaj, zagrzewając serce do walki żelzywymi słowy, zapuścili się w głąb wyspy.

Nikt nie widział zaciętej bitwy, ale po trzykroć zdawało się, że wiatr morski przynosi na wybrzeże wściekle okrzyki. Wówczas na znak żałoby kobiety biły w ręce, zaśie towarzysze Morhołta, zebrani w kupę przed namiotami, śmiali się. Wreszcie około godziny dziewiątej ujrano z daleka wzdymający się purpurowy żagiel – barka Irlandczyka odbiła od wyspy. Wnet rozległ się krzyk rozpaczny:

– Morhołt! Morhołt!

Ale w miarę jak barka rosła, nagle na szczycie fali ukazał się rycerz stojący na dziobie; w każdej pięści potrzasał obnażonym mieczem – był to Tristan. Natychmiast dwadzieścia łodzi pomknęło na spotkanie; młodzieńcy rzucili się w pław. Chrobrzy rycerz wyskoczył na brzeg i podczas gdy matki na kolanach całowały jego żelazne nagolennice, on zakrzyknął ku duchom Morhołtowym:

– Panowie irlandzcy, Morhołt walczył mężnie! Patrzcie, miecz mój wyszczerbiony, ułomek zaś brzeszczotu został w jego czaszce. Zabierzcie ten kawałek stali, panowie, oto haracz Kornwalii!

Za czym skierował się do Tyntagielu. Kiedy przechodził, oswobodzone dzieci potrzęsały wśród wielkich okrzyków zielonymi gałęzmi, w oknach zaś pojawiły się bogate kobierce. Ale kiedy wśród krzyków wesela, dźwięku dzwonów, trąb i rogów tak donośnych, że nie słyszałoby się nawet samego Boga, gdyby zagrział, Tristan przybył do zamku, osunął się zemdlały w ramiona króla Marka, krew zaś spływała z jego ran. Z wielkim zawstydzeniem towarzysze Morhołta przybyli do Irlandii. Niegdyś, ilekroć wracał do portu Weisefort, Morhołt radował się widząc swój lud zgromadzony, okrzykujący go tłumnie. Radował się widząc królową, swą siostrę i siostrzenicę, Izold Jasnowłosa, o warkoczach ze złota, której piękność jaśniała już jak wschodząca jutrenka. Przyjmowały go z czułością i jeśli doznał jakiej rany, leczyły go; znały bowiem maści i kordiały wskrzeszające rannych, ba, podobnych już umierającym. Ale na co by im się zdały teraz magiczne przepisy, zioła zebrane o sposobnej godzinie, odwary? Leżał umarły, zaszyty w skórę jelenią, ułomek zaś nieprzyjacielskiego miecza tkwił jeszcze w jego czaszce. Izold Jasnowłosa wydobyla ułomek, aby go zamknąć w szkatule z kości słoniowej, cennej jak relikwiarz. I schylone nad roslym trupem, matka i córka, powtarzając bez końca pochwały zmarłego i bez wytchnienia miotając klątwy przeciw zabójcy, przewodziły kolejno wśród kobiet żalobnym lamentom. Od tego dnia Izolda Jasnowłosa nauczyła się nienawidzić imienia Lończyka Tristana.

Ale w Tyntagielu Tristan chorzał; zatruta krew wypływała z jego ran. Lekarze poznali, iż Morhołt zatopił .mu w ciele jadowite ostrze, i ponieważ kordiały ich i teriaki nie mogły nic zdziałać, powierzyli go opiece Boga. Fetor tak obmierzły wydzielał się z ran Tristana, że najwierniejsi przyjaciele uciekali odeń: wszyscy, z wyjątkiem króla Marka, Gorwenala i Dynasa z Lidanu. Ci jedni mogli wytrwać u wezłowania, miłość ich przemagała wstręt. Wreszcie Tristan kazał się przenieść do szałas zbudowanego na stromym wybrzeżu; tam, leżąc naprzeciw fal, czekał śmierci. Myślał: „Opuściłeś mnie tedy, królu Marku, mnie, którym ocalił cześć twjej ziemi? Nie; wiem o tym, zacny wuju, że oddałyś życie w zamian za moje; ale co poradzi twoja tkliwość? Trzeba mi umierać! Lubo jest wszakże oglądać słońce i serce moje jeszcze jest krzepkie. Chciałbym się puścić na szerokie morze... Chciałbym, aby mnie uniosło daleko. Ku jakiej ziemi? Nie wiem... Może tam, gdzie bym znalazł kogoś kto by mnie wyleczył. I może któregoś dnia wspomógłbym cię jeszcze, drogi wuju, jako twój lutnista i łowczy, i wierny lennik.”

Póty błagał, aż król Marek ustąpił życzeniu. Zaniósł go na barkę bez wiosła ni żagla; Tristan prosił, aby jego lutnię ułożono przy nim. I na co żagle, których ramiona jego nie umiałyby napiąć? Na co wiosła? Na co miecz? Jako żeglarz wśród długiej przeprawy strąca z pokładu trupa dawnego towarzysza, tak drżącymi ramionami Gorwenal odepchnął od brzegu barkę, w której leżał jego drogi syn, i morze ją uniosło.

Siedm dni i siedm nocy niosło ją łaskawie. Czasem Tristan brząknął w lutnię, aby omamić swą niedolę.

Wreszcie morze bez jego wiedzy zbliżyło go do brzegu. Owóż tej nocy rybacy wypłynęli z portu, aby zarzucić sieć na pełnym morzu. Wiosłowali krzepko, kiedy usłyszeli melodię słodką, śmiała i żywą, biegnącą wierzchem fal. Nieruchomi, z wiosłami utopionymi w nurcie, słuchali; w pierwszym brzasku jutrenki ujrzeli błędzącą barkę.

– Podobnie – mówili sobie – nadprzyrodzona muzyka otaczała łódź świętego Brendana płynącą ku Wyspom Szczęśliwości, po morzu tak białym jak mleko.

Ujęli wiosła, aby dosięgnąć łodzi; płynęła na znos i niczym nie zdradzała życia jak tylko dźwiękiem lutni. Ale w miarę jak się przybliżali, melodia osłabła, zamilkła i kiedy dobili, ręce Tristana opadły bezwładnie na drżące jeszcze struny. Podjęli go i wrócili do portu, aby go oddać rannego swej współczującej pani, jedynej, która może zdoła go uleczyć.

Niestety, port ów to był Weisefort, kędy był grób Morhołta, a pani ich to Izold Jasnowłosa. Ona jedna, świadoma cudownych kordiałów, mogła ocalić Tristana, ale ona jedna wśród niewiast na ziemi pragnęła jego śmierci. Kiedy Tristan, ożywiony jej sztuką, odzyskał zmysły, poznał, iż fale rzuciły go na ziemię pełną

niebezpieczeństw. Ale mając jeszcze ducha dość, aby bronić życia, umiał znaleźć naprędce piękne, zwodnicze słowa. Opowiedział, że jest lutnistą, że przeprowiał się za morze na kupieckim statku; żeglował do Hiszpanii, aby się tam nauczyć sztuki czytania w gwiazdach; piraci opadli statek; on, zraniony, umknął na tej barce. Uwierzono mu; nikt z towarzyszy Morhołta nie poznał pięknego rycerza z Wyspy Świętego Samsona, tak szpetnie trucizna zniekształciła jego rysy. Ale kiedy po czterdziestu dniach Izold Jasnowłosa niemal go już uleczyła i gdy już w członkach, znów gibkich, zaczynał się odradzać wdzięk młodości, zrozumiał, iż trzeba uciekać; wymknął się i przebywszy liczne niebezpieczeństwa stanął przed królem Markiem.



## SZUKANIE PIĘKNEJ O ZŁOTYCH WŁOSACH

*En po d'ore vos ot paée  
O la parole do chevol,  
Dont je di puls eü grant dol.*<sup>3</sup>  
Pieśń o szaleństwie Tristana

Było na dworze Króla Marka czterech baronów, najbardziej zdradzieckich spomiędzy ludzi, nienawidzących Tristana srogą nienawiścią za jego męstwo i za tkliwą miłość, którą król dlań żywił. I mogę wam nawet powtórzyć ich imiona: Andret, Gwenelon, Gondoin i Denoalen; z tych diuk Andret był jak i Tristan siostrzeńcem króla. Wiedząc, iż król zamyślał postarzyć się bezdzietnie, aby przekazać ziemię Tristanowi, wzburzyli się w swej zawiści i za pomocą kłamstw podjudzili przeciw Tristanowi szlachtę Kornwalii.

– Ileż cudów w jego życiu! – powiadali obłudnicy. – Ale wy, panowie, jesteście ludzie nie bici w ciemię i umiecie z pewnością odgadnąć tego przyczynę. To, iż odniósł tryumf nad Morhołtem, to już piękny cud; ale jakimi czarami potrafił, niemal już umarły, żeglować sam po morzu? Który z was, panowie, pokierowałby barką bez wiosel i bez żagla? Czarownicy potrafią to, mówią ludzie. A potem, w jakim kraju, jakie diabelskie sztuki mogły znaleźć lekarstwo na jego rany? Nie ma wątplenia, że to czarnoksiężnik. Tak, barka jego była zaczarowana i także miecz i lutnia jest zaczarowana, która codziennie sączy truciznę w serce króla Marka! Jak on umiał opętać to serce urokiem i potęgą czarów! Będzie królem, panowie, a wy będziecie ziemie swoje brać lennem od diabelskiego pachołka!

Przekonali większość baronów; wielu bowiem ludzi nie wie, iż tego, co jest w mocy czarnoksiężników, serce ludzkie może też dokonać siłą miłości i odwagi. Zaczęli tedy baronowie napierać na króla, aby pojął za żonę córkę królewską, która by dała mu dziedziców; jeśli odmówi, zamkną się (mówili) w obronnych zamkach, aby z nim toczyć wojnę. Król opierał się i przysięgał w sercu, iż póki żyje drogi siostrzeniec, żadna córa królewska nie wejdzie do jego łoża. Ale w końcu sam Tristan, któremu wstyd było cierpieć podejrzenie, że kocha wuję przez łakomstwo, zagroził, iż król ma się poddać woli baronów, inaczej opuści jego dwór i pójdzie służyć bogatemu królowi gaweńskiemu. Wówczas Marek nazaczył porę swym baronom – za czterdzieści dni przyrzekł objawić, co mniema.

W oznaczonym dniu sam w swojej komnacie oczekiwał ich przybycia i myślał smutnie: „Gdzież znaleźć córkę króla tak daleką i niedostępną, abym mógł udać, ale udać tylko, iż pragnę jej za żonę?”

W tej chwili przez okno otwarte na morze dwie jaskółki, które budowały gniazdo, wleciały swarząc się, po czym nagle przestraszone uciekły. Ale z dziobków ich wymknął się długi włos kobiety, cieńszy niż nitka jedwabiu i błyszczący jak promień słońca.

Marek podjąwszy go kazał zawołać baronów i Tristana i rzekł:

- Aby wygodzić wam, panowie, gotów jestem pojąć żonę, byleście chcieli wyszukać mi tę, którą wybrałem.
- Zaiste chcemy, zacny panie; któraż to jest, którą wybrałeś?
- Wybrałem tę do której należy ten włos złocisty, i wiedźcie, że nie chcę żadnej innej.
- I z jakich stron, zacny panie, pochodzi ów włos złocisty? Kto ci go przyniósł? Z jakiego kraju?
- Pochodzi, panowie, od Pięknej o złotym warkoczu; dwie jaskółki mi go przyniosły i one wiedzą, z jakiego kraju.

Baronowie zrozumieli, że zadrwiono z nich i że ich wyprowadzono w pole. Spoglądali na Tristana spode łba; podejrzewali, iż to on doradził tę sztukę. Ale Tristan przyjrząwszy się złotemu włosowi przypomniał sobie Izold Jasnowłosą. Uśmiechnął się i tak przemówił:

– Królu Marku, źle sobie poczynasz; czy nie widzisz, że posądzenia tych panów mnie hańbią? Ale na próżno umyśliłeś sobie to pośmiewisko; pójdę szukać Pięknej o złotym warkoczu. Wiedz, że szukanie to niebezpieczne i że trudniej mi będzie wrócić z jej kraju niż z wyspy, na której zabiłem Morhołta, ale na nowo chcę dla ciebie, miły wuju, ciało swoje i życie rzucić na los. Izby twoi baronowie wiedzieli, że kocham cię szczerą i prawą miłością, dają wiarę swoją w zakład – albo zginę w tym przedsięwzięciu, albo przywiodę do tego zamku tyntagielskiego Królowę o złotym warkoczu.

---

<sup>3</sup> Pokróćce was zapłaciłem  
Wiadomością o włosie,  
Z czego przyszła na mnie wielka bieda.  
(Przeł. Z. Czerny)

Narządził piękny statek zaopatrzony w zboże, wino, miód i wszelkie dobre zasoby. Wsadził nań prócz Gorwenala, stu młodych rycerzy wysokiego rodu, wybranych między najsmielszymi, przybrał ich w siermięgi z grubego sukna i opończe z samodziału, iżby wyglądali na kupców; ale pod pokładem ukrywali bogate szaty ze złotogłowiu, cendału i szkarłatu, jakie przystały posłańcom możnego króla.

Skoro statek wypłynął na pełne morze, sternik zapytał:

– Zacny panie, ku jakiej ziemi mam płynąć?

– Przyjacielu, śmigaj ku brzegom Irlandii, prosto na port weiseforcki.

Sternik zadrzał. Żali Tristan nie wiedział, iż od czasu zabicia Morhołta król Irlandii ściga statki kornwalijskie, że schwytych żeglarzy każe wieszać na widłach? Mimo to sternik usłuchał i przybił do niebezpiecznej ziemi.

Zrazu Tristan umiał przekonać ludzi z Weisefortu, że jego towarzysze to kupcy z Anglii, przybyli, aby handlować spokojnie. Ale gdy ci osobliwi kupcy trawili dzień na grze w warcaby i w szachy i zdawali się bieglejsi w wytrąsaniu kości niż mierzeniu ziarna, Tristan uląkł się, iż go przejrzą, i nie wiedział, jak zacząć swe poselstwo.

Aliści jednego dnia o świcie usłyszał głos tak przeraźliwy, iż można by mniemać, że to głos samego czarta.

Nigdy nie słyszał żadnego zwierzęcia, aby skowyczało w ten sposób, tak straszliwy i dziwny. Zagadnął kobietę jakąś, która przechodziła koło portu.

– Powiedzcie mi, pani – rzekł – skąd pochodzi głos, który oto słyszę? Nie ukrywajcie mi prawdy!

– Wierę, panie, powiem bez kłamstwa. Pochodzi od bydłęcia srogiego, najszpetniejszego, jakie było kiedy na świecie. Każdego dnia wypęła z jamy i sadowi się u bram miasta. Nikt nie może tamtędy wyjść, nikt nie może wejść, póki nie wydadzą smokowi młodej dziewczyny; a kiedy ją już ma w pazurach, pożera ją śpieszniej, niżbyście zdołali odmówić jedną ojczenszkę.

– Pani – rzekł Tristan – nie dworujcie sobie ze mnie, ale powiedzcie, czy byłoby możliwe człowiekowi urodzonemu z niewiasty zabić go w bitwie?

– Zaiste, piękny, słodki panie, nie wiem: tyle wiem, iż dwudziestu doświadczonych rycerzy próbowało już tej przygody, król Irlandii bowiem obwieścił głosem herolda, iż da swą córkę, Izoldę Jasnowłosą, temu, kto zgładzi potwora; ale potwór wszystkich pożarł.

Tristan pożegnał kobietę i wrócił na statek. Uzbroił się po kryjomu; i piękny to byłby zaiste widok patrzeć, jak z kupieckiego okrętu wynurza się tak cenny rumak bojowy i tak pyszny rycerz. Ale port był pusty; ledwie pierwszy brzask wschodził i nikt nie widział rycerza, jak jechał ku bramie, którą wskazała mu niewiasta. Naraz przez drogę pomknęło pięciu ludzi. Bodli ostrogami konie i puściwszy cugle uciekali w stronę miasta. Tristan schwyił w biegu jednego z nich za czerwone splecione włosy tak mocno, iż przygiął go do zadu końskiego, i tak przytrzymał.

– Bóg z wami, dobry panie! – rzekł Tristan. – Którędy przybywa smok?

Zasię kiedy uciekający pokazał mu drogę, Tristan puścił go.

Potwór zbliżał się. Miał spiczastą głowę, czerwone oczy płonące jak rozżarzone węgle, dwa rogi na czole, długie i kosmate uszy, pazury lwa, ogon węża, ciało pokryte łuską jak u gryfa.

Tristan spał rumaka z taką siłą, że, mimo iż zjeżony strachem, skoczył jednak ku potworowi. Lanca Tristana uderzyła o łuskę i rozprysła się w kawałki. Natychmiast rycerz dobywa miecza, wznosi go i opuszcza na głowę smoka: ale nawet nie naruszył skóry. Wszelako potwór uczuł cios; wyciąga pazury ku pawęży, zatapia je i zrywa tarcz z rzemieni. Z odsłoniętą piersią Tristan godzi weń jeszcze raz mieczem i uderza w bok tak gwałtownym ciosem, że aż powietrze zagrzmiało. Na próżno – nie może go zranić. Wówczas smok wyzionął przez nozdrza podwójny strumień zatrutych płomieni: zbroja Tristana czernieje niby węgiel zetlały, koń wali się i kona. Ale w tejże chwili, skoczywszy na nogi, Tristan zatapia hartowną klingę w paszczy potwora, stal przechodzi na wskroś i przecina serce na dwoje. Smok wydaje po raz ostatni straszliwy krzyk i umiera.

Tristan uciął mu język i schował do pludrów. Następnie, odurzony gryzącym dymem, skierował się dla odwilżenia gardła ku sadzawce, którą ujrzał połyskującą opodal. Ale jad sączący się z języka smoka rozgrzał się na ciele rycerza; w wysokich trawach okalających bajoro bohater upadł bez życia.

Owóż wiedzcie, iż zbieg z czerwonym plecionym włosem był to Aguynquerran Rudy, kasztelan króla Irlandii, i że zabiegał się o Izoldę Jasnowłosą. Był to z natury tchórz, ale taka jest potęga miłości, iż co rano zaczynał się uzbrojony, aby się spotkać ze smokiem. Skoro jednak z najdalsza jeno usłyszał jego krzyk, chrobry rycerz umykał. Tego dnia w towarzystwie czterech kompanów ośmielił się zawrócić z drogi. Zastał smoka bez życia, padlinę końską, tarcz skruszoną i pomyślał, iż zwycięzca wyzionął ducha gdzieś opodal. Za czym uciął głowę potwora, zaniósł królowi i zażądał pięknej przyrzeczonej nagrody.

Król nie wierzył zgola w jego męstwo; ale, chcąc wyświadczyć prawo, kazał strąbić wasalów, aby za trzy dni od dzisiejszego stawili się na dworze – tam, przed zebraniem baroństwem, kasztelan Aguynquerran przedłożył dowody zwycięstwa...

Kiedy Izoldę Jasnowłosą dowiedziała się, iż ma być łupem tchórze, najpierw wybuchnęła długim śmiechem, po czym jęła zawodzić nad swą dolą. Ale nazajutrz, podejrzewając szalbierstwo, wzięła z sobą służbę, jasnowłosego wiernego Perynisa, oraz Brangien, młodą służącą i towarzyszkę, i wszystko troje ruszyli po kryjomu na koniach ku smoczemu jamie. Wtem Izoldę spostrzegła na drodze ślady osobliwego kształtu – bez wątpienia koń, który

przeszedł tamtędy, nie był okuty w tym kraju. Następnie ujrzała potwora bez głowy i martwego konia – rząd jego nie był uszyty obyczajem Irlandii. Wierę, cudzoziemiec jakiś zabił smoka, ale czy żyje jeszcze?

Izolda, Perynis i Brangien szukali długo, wreszcie wśród traw bagniska Brangien ujrzała błyszczący hełm rycerza. Oddychał jeszcze. Perynis wziął go na swego konia i zaniósł tajemnie do komnat niewieścich. Izolda opowiedziała zdarzenie matce i powierzyła jej cudzoziemca. Kiedy królowa rozdziewała rycerza, zatruty język smoka wypadł z pludrów. Wówczas królowa Irlandii ocuciła rannego za pomocą niektórego zioła i rzekła: – Cudzoziemcze, wiem, iż ty jesteś prawdziwym zabójcą smoka. Ale nasz marszałek dworu, tchórz, szalbierz, uciął mu głowę i domaga się mej córki, Izoldy Jasnowłosej, za nagrodę. Czy potrafisz od dziś za dwa dni dowieść mu zdrady w pojedynczej bitwie?

– Królowo – rzekł Tristan – bliski to termin. Ale bez wątpienia potrafisz mnie uleczyć w dwa dni. Zdobyłem Izoldę na smoku; zdobędę ją może na kasztelanie.

Wówczas królowa nakarmiła go suto i nawarzyła skutecznych leków. Następnego dnia Izolda Jasnowłosa przyrządziła kąpiel i łagodnie namaściła mu ciało balsamem sporządzonym przez matkę. Zatrzymała wzrok na twarzy rannego, ujrzała, iż jest piękny, i pomyślała: „Wierę, jeśli dzielność jego równa się piękności, ten mój zapaśnik stoczy srogą bitwę!” Tristan zaś przywołany do życia ciepłem wody i siłą aromatów, patrzył na nią i myśląc o tym, iż zdobył Królowę o złotych włosach, jął się uśmiechać. Izolda spostrzegła to i rzekła w duchu. „Czemu ten cudzoziemiec się uśmiechnął? Czy uczyniłam coś, co się nie godzi? Czy zaniedbałam której ze służb, jakie młoda dziewczica powinna jest gościowi? Tak, tak, może uśmiechnął się, ponieważ zapomniałam ochędożyć zbroję jego szczernią od jadu.”

Podeszła tedy, kędy złożony był rynsztunek Tristana. „Otoć hełm z dobrej stali – pomyślała – nie chybi mu w potrzebie. Pancierz silny, lekki, godny okrywać ciało dzielnego rycerza. – Ujęła miecz za rękojeść. – Ha, piękny to miecz i przystojny śmiałemu baronowi!” Wydobyła z bogatej pochwy zakrwawione żelazo, aby je obetrzeć. Ale widzi, iż brzeszczot jest szeroko wyszczerbiony. Zważa kształt ubytku; czy to nie ten, który się złamał na głowie Morhołta? Waha się, ogląda jeszcze, chce się upewnić w wątpliwości. Biegnie do komnaty, w której chowała ułomek stali dobyty niegdyś z czaszki Morhołta. Przykłada ułomek do szczerby – ledwie uświadczyłbyś ślad skrzenia.

Wówczas rzuciła się ku Tristanowi i okręcając nad głową rannego srogi miecz krzyknęła:

– Tyś jest Tristan Łończyk, zabójca Morhołta, mego drogiego wuja; umierajże ty teraz!

Tristan uczynił wysiłek, aby zatrzymać jej ramię; na próżno. Ciało było zdrętwiałe, ale duch został zwinny.

Przemówił tedy chytrze:

– Dobrze więc, umrę; ale jeśli chcesz sobie oszczędzić długich wyrzutów, posłuchaj. Córko królewska, wiedz, że nie tylko masz moc, ale masz i prawo mnie zabić. Tak, masz prawo nad mým życiem, ponieważ po dwakroć zachowałam mi je i wróciłaś. Pierwszy raz niedawno – byłem lutnistą, którego ocaliłaś wygnawszy z ciała truciznę, którą miecz Morhołta je skaził. Nie rumień się, dziewczyno, żeś uleczyła te rany; żali nie otrzymałem ich w prawej i szczerzej bitwie? Czy zabiłem Morhołta zdradą? Czy mnie nie wyzwał? Czy nie godziło mi się bronić? Drugi raz ocaliłaś mnie, znalazłszy w bagnisku. Ha, dla ciebie to, dziewczyno, potykałem się ze smokiem... Ale poniechajmy tego, chciałem ci jeno dowieść, iż zbawiwszy mnie po dwakroć od niebezpieczeństwa śmierci masz prawo nad życiem. Zabij tedy, jeśli mniemasz zdobyć tym cześć i chwałę. Bez wątpienia, kiedy będziesz spoczywać w ramionach męznego kasztelana, słodko ci będzie pomyśleć o rannym gościu, który zaważył życie, aby cię zdobyć, i zdobył, a któregoś ty zabiła bezbronnego w kąpieli. Izolda wykrzyknęła:

– Słyszę oto przedziwne słowa! Dlaczego morderca Morhołta chciał mnie zdobyć? Ha, z pewnością jak niegdyś Morhołt próbował zagarnąć na statek młode dziewczęta z Kornwalii i ty z kolei, prawem pięknego odwetu, chciałaś się pochłubić, iż uwieziesz jako niewolnicę tę, którą Morhołt miłował nad inne między dziewczętami.

– Nie, córko królewska – rzekł Tristan. – Ale jednego dnia dwie jaskółki przyleciały do Tyntagielu, aby tam zanieść jeden twój złoty włos. Mniemałem, iż przybyły mi oznajmić pokój i miłowanie. Dlatego umyśliłem szukać cię za morzem. Dlatego stawiłem czoło potworowi i jego jadom. Widzisz ten włos zaszyty między złote nitki sukni; blask nitek złotych szczeriał, ale złoto twego włosa nie spelzło.

Izolda odrzuciła srogi miecz i wzięła w rękę płaszcz Tristana. Ujrzała złoty włos i zamilkła na długo; po czym ucałowała gościa w usta na znak pokoju i oblekła go w bogate szaty.

W dzień zebrania baronów Tristan posłał tajemnie Perynisa, giermka Izoldy, na statek, z nakazem dla drużyny, aby się stawili na dworze, przystrojeni, jak się godziło posłańcom bogatego króla, spodziewał się bowiem osiągnąć tegoż samego dnia koniec przygody. Gorwenal i młodzi rycerze rozpaczali od czterech dni, iż stracili Tristana; ucieszyli się nowiną.

Jeden za drugim weszli do sali, w której już gromadzili się bez liku baronowie Irlandii; weszli i usiedli sznurkiem w rzędzie. Drogie kamienie kapały z bogatych strojów, z purpury, cendału i szkarłatu. Irlandczycy mówili między sobą:

– Kto są ci wspaniali panowie? Kto ich zna? Patrzcie na te płaszcze bogate, obramione sobolem i złotogłowiem! Patrzcie, jak na rękojeści mieczów, na zapinkach futer błyszczą rubiny, beryle, szmaragdy i moc kamieni,

których ani nazwać nie umiemy. Któż widział kiedy podobne przepychy? Skąd przychodzą ci panowie? Komu przynależą?

Ale stu rycerzy milczało i nie ruszali się z siedziska dla nikogo wchodzącego.

Kiedy król Irlandii zasiadł pod baldakinem, kasztelan Aguynguerran Rudy ofiarował się dowieść świadkami i podtrzymać w bitwie, iż zabił potwora i że należy mu wydać Izoldę. Wówczas Izolda skłoniła się przed ojcem i rzekła:

– Królu, jest tu człowiek, który podejmuje się dowieść kasztelanowi kłamstwa i szalbierstwa. Temu człowiekowi, gotowemu przedstawić dowody, iż uwolnił tę ziemię od plagi i że twej córki nie należy oddawać w ręce tchórza, żali obiecujesz odpuścić dawne winy, choćby największe, i użyć pokoju i łaski?

Król zadumany nie kwapił się z odpowiedzią. Ale baronowie krzyczeli tłumnie:

– Przyzwól, panie, przyzwól! Król rzekł:

– Tedy przyzwalam.

Ale Izolda uklękła u jego stóp:

– Ojczy, daj mi najpierw pocałunek łaski i pokoju na znak, że tak samo dasz je temu człowiekowi.

Skoro otrzymała pocałunek, poszła do Tristana i przywiodła go za rękę przed zgromadzenie. Na jego widok stu rycerzy podniosło się jak jeden mąż, skłonili mu się z rękami złożonymi na piersiach, stanęli po jego bokach, aż Irlandczycy ujrzeli, iż to jest ich pan. Ale wielu poznało go wówczas i rozległ się wielki okrzyk:

– To Tristan loński, to morderca Morholtowy! Nagie miecze błysły i wściekle głosy powtarzały:

– Niech zginie!

Ale Izolda wykrzyknęła:

– Królu, pocałuj tego człowieka w usta, jak przyrzekłeś!

Król ucałował go w usta i zgiełk uciszył się. Wówczas Tristan pokazał język smoka i rzucił wyzwanie kasztelanowi, który nie śmiał go przyjąć i wyznał swą winę. Po czym Tristan tak mówił:

– Panowie, zabiłem Morholta, ale przebyłem morze, aby wam ofiarować zań piękną grzywnę. Aby okupić krzywdę, wydałem ciało swoje w niebezpieczeństwo śmierci i uwolniłem was od potwora, i oto zdobyłem Izoldę Jasnowłosa, krasawicę. Zdobywszy zabiorę ją rychło na statek. Ale iżby w ziemiach Irlandii i Kornwalii nie władala już nienawiść, ale miłość, wiedźcie, iż król Marek, mój drogi pan, zaślubi ją. Oto stu rycerzy wielkiego rodu gotowych zaprzysiąc na relikwie świętych, że król Marek ślubuje wam pokój i miłość. Pragnieniem jego jest uczcić Izoldę jako swą drogą małżonkę i cała szlachta Kornwalii będzie jej służyć jako królowej i pani. Przyniesiono w wielkim weselu ciała świętych i stu rycerzy przysięgło, iż powiada prawdę.

Król wziął Izoldę za rękę i spytał Tristana, czy ją odprowadzi wiernie panu. W obliczu swoich stu rycerzy i w obliczu baronów Irlandii Tristan zaprzysiął. Izolda Jasnowłosa drżała ze wstydu i męki. Zatem Tristan zdobywszy wzgardził nią; piękna powieść o Włosie Złotym była jeno kłamstwem; oto śpieszy wydać ją innemu... Ale król włożył prawą rękę Izoldy w prawicę Tristana, Tristan zaś trzymał ją na znak, iż bierze ją w posiadanie imieniem króla Kornwalii.

Tak dla miłości króla Marka, chytrą i siłą, Tristan dopełnił szukania Królowej o złotym warkoczu.

## NAPÓJ MIŁOSNY

*Neln, ezn was nith mit wine,  
doch ez im glich waere,  
ez was diu wernde swaere,  
diu endelôse herzenôt  
von der si beide lagen tot.<sup>4</sup>*  
Gotfrid ze Strasburga

Kiedy nadszedł czas oddania Izoldy rycerzom Kornwalii, matka jej nazbierała ziół, kwiatów i korzeni, rozmieszała je w winie i uwarzyła silny napój. Dokończywszy go wedle przepisów sztuki czarnoksiężskiej, zlała do bukłaczka i rzekła tajemnie do Brangien:

– Słuchaj, dziewczko, masz udać się z Izolda do kraju króla Marka. Miłujesz ją wierną miłością; weź tedy ten bukłaczek z winem i zapamiętaj te słowa. Ukryj go w taki sposób, aby go żadne oko nie ujrzało i żadne wargi się doń nie zbliżyły. Ale kiedy przyjdzie noc weselna i chwila, w której zostawia się małżonków samowtór ze sobą, wlejesz to wino nasycone ziołami do czaszy i podasz, aby wypróbnili ją wspólnie król Marek i królowa Izolda. Bacz jeno dobrze, dziewczyno, aby oni sami tylko mogli skosztować napoju. Taka jest bowiem jego moc: ci, którzy wypiją go razem, będą się miłowali wszystkimi zmysłami i wszystką myślą na zawsze, przez życie i po śmierci.

Brangien przyrzekła królowej, iż uczyni wedle jej woli.

Prując głębokie fale statek unosił Izoldę. Ale im bardziej oddalał się od ziemi irlandzkiej, tym bardziej młoda dziewczyna czuła w sercu żalność. Siedząc w namiocie, w którym zamknęła się z Brangien, służebnicą wierną, płakała wspominając swój kraj. Dokąd ją wiodą ci cudzoziemcy? Do kogo? Na jaki los? Kiedy Tristan zbliżał się i chciał ją uspokajać łagodnymi słowy, gniewała się, odtrącała go i nienawiść wzdymała jej serce. Przybył on, rabuśnik, on, morderz Morholtowy, wydarł ją podstępem matce i ziemi rodzinnej; nie raczył zachować jej dla samego siebie i oto uwozi ją jako łup ku nieprzyjacielskiej ziemi! „Nieszczęsna! – myślała sobie. – Przeklęte niech będzie morze, które mnie nosi! Radziej wolałabym umrzeć w ziemi, gdzie się zrodziłam, niż żyć tam...” Jednego dnia wiatry uciszyły się i żagle opadły, zwiśle u maszty. Tristan kazał przybić do wyspy; znużeni morzem rycerze kornwalijscy oraz majtkowie wysiedli na ląd. Jedna Izolda została na statku wraz z młodą służebniczką. Tristan zbliżył się do królowej i starał się ukoić jej serce. Ponieważ słońce piekło i czuli pragnienie, zażądali pić. Dziewczynka poszła szukać jakiegoś napoju, aż znalazła bukłaczek oddany w ręce Brangien przez matkę Izoldy.

– Znalazłam wino! – zawołała. Nie, nie, to nie było wino – to była chuć, to była rozkosz straszliwa i męka bez końca, i śmierć! Dziecię napełniło puchar i podało swej pani. Piła dużymi łykami, po czym dała Tristanowi, który wypił do dna.

W tej chwili weszła Brangien i ujrzała ich, jak spoglądali na się w milczeniu, jakby oszołomieni i zachwyceni razem. Ujrzała przed nimi naczynie prawie puste i puchar. Wzięła naczynie, pobiegła na tył okrętu, rzuciła je w fale i jęła:

– Nieszczęśliwa! Przeklęty niech będzie dzień, w którym się zrodziłam, i przeklęty dzień, w którym wstąpiłam na ten statek! Izoldo, przyjaciółko moja, i ty, Tristanie, otoście wypili śmierć własną.

I znowuż statek pomykał w stronę Tyntagielu. Zdawało się Tristanowi, że żywy krzew o ostrych cierniach, o pachnących kwiatach zapuszcza korzenie w krew jego serca i silnymi więzami wiąże do pięknego ciała Izoldy jego ciało i wszystką myśl, i wszystkie pragnienia. Myślał: „Andrezie, Denoalenie, Gwenelonie i ty, Gondoinie, zdrajcy, którzyście mnie oskarżali, iż pożądam ziemi króla Marka, ach, jestem jeszcze nikczemniejszy i nie ziemi jego oto pożądam! Ty, miły wuju, który pokochałeś mnie, sierotę, nim nawet poznałeś krew siostry swojej Blancheflor, któryś mnie oplakiwał tkliwie, gdy ramiona twoje niosły mnie do barki bez zagła i wiosła, ty, miły wuju, czemuż od pierwszego dnia nie wygnałeś precz zbłąkanego dziecka, przybyłego, aby cię zdradzić? Ha, cóżem pomyślał? Izold jest twoją żoną, a ja twym lennikiem. Izold jest twoją żoną, a ja twoim synem. Izold jest twoją żoną i nie może mnie kochać.”

<sup>4</sup> Nie, to nie było z własną żoną  
Lecz było mu to obojętne,  
Był to długotrwały ból;  
Bez końca cierpienie serdeczne,  
Które oboje życiem przyplacili.  
(Przeł. Z.Czerny)

Izold kochała go. Chciała nienawidzić – Żali nią haniebnie nie wzgardził? Chciała nienawidzić i nie mogła, dręczona w sercu czułością dotkliwiej piekącą niż nienawiść.

Brangien patrzyła na nich z bólem, okrutniej jeszcze udęczona. Ona jedna знаła nieszczęście, które sprawiła. Dwa dni śledziła ich; widziała, jak odtrącają wszelkie jado, wszelki napój i wszelkie pokrzepienie, jak się szukają niby ślepi posuwający się po omacku ku sobie, nieszczęśliwi, kiedy usychali rozdzieleni, bardziej nieszczęśliwi jeszcze, kiedy będąc przy sobie drżeli przed grozą pierwszego wyznania.

Trzeciego dnia, kiedy Tristan zbliżał się do namiotu rozpiętego na pokładzie, gdzie Izolda szukała schronienia, Izold ujrzała go nadchodzącego i rzekła pokornie:

– Wejdźcie, panie!

– Królowo – rzekł Tristan – czemu nazywasz mnie panem? Czy nie jestem, przeciwnie, twym lennikiem, wasalem, powinnym cię czcić, służyć ci i kochać cię jak swoją królową i panią?

Izold odparła:

– Nie, ty wiesz o tym, że jesteś moim panem i władcą! Ty wiesz, że twoja moc włada nade mną i że jestem twą niewolnicą! Ach, czemuż nie rozjątrzyłam niegdyś ran schorzałego lutnisty? Czemu nie dałam zginąć pogromcy smoka w trawach bagniska? Czemu, kiedy spoczywał w kąpielu, nie spuściłam nań miecza wzniesionego już nad głową? Niestety, nie wiedziałam wówczas tego, co wiem dzisiaj!

– Izoldo, co wiesz dzisiaj? Co cię dręczy?

– Ach, wszystko to, co wiem, dręczy mnie, i wszystko, co widzę! To niebo mnie dręczy i to morze, i ciało moje, i życie moje!

Położyła rękę na ramieniu Tristana, łzy przygasiły promienie jej ocz, wargi zadrzały. Zapytał:

– Miła, co cię dręczy? Odpowiedziała:

– Iż cię miłuję.

Wówczas położył usta na jej ustach.

Ale gdy po raz pierwszy oboje kosztowali rozkoszy miłości, Brangien, która śledziła ich, wydała krzyk i z wyciągniętymi ramionami, z twarzą zalaną łzami, rzuciła im się do nóg:

– Nieszczęśliwi, wstrzymajcie się i jeśli możecie jeszcze, zawróćcie z drogi! Ale nie, droga jest bez powrotu; już siła miłości was ciągnie i nigdy już nie zaznacie słodczy bez boleści. To wino napojone ziołami ogarnęło was, napój miłosny, który matka twoja, Izoldo, powierzyła mi. Jeden król Marek miał wypić go z tobą; ale Nieprzyjaciel zadrwił sobie z nas trojga i oto wy oboje wysączyliście puchar. Miły Tristanie, Izoldo miła, za karę złej pieczy, którą miałam o nim, oddaję wam swoje ciało, życie; przez moją to zbrodnię wypiliście w przeklętym pucharze miłość i śmierć!

Kochankowie obłapili się: w ich pięknych ciałach drgało pragnienie i życie. Tristan rzekł:

– Niech tedy przyjdzie śmierć.

I kiedy wieczór zapadł, na statku, który coraz chężej pomykał ku ziemi króla Marka, związani na zawsze, pogrążyli się w miłości.

## BRANGIEN WYDANA NIEWOLNIKOM

*Sobre totz avrai gran valor,  
S'aitals camisa m'es dada,  
Cum Iseus det a l'amador,  
Que mais non era portada.*<sup>5</sup>  
Rambałt, hrabia Oranii

Król Marek przyjął Izoldę Jasnowłosą na wybrzeżu. Tristan wziął ją za rękę i zawiódł przed króla; król objął ją w posiadanie biorąc również za rękę. Z wielką czcią zaprowadził ją do zamku w Tyntagielu i kiedy pojawiła się w sali, w pośrodku panów lennych, piękność jej roznieciła taką jasność, iż mury załśniły się, jakby padły na nie blaski wschodzącego słońca. Wówczas Marek pochwalił jaskółki, które tak uprzejmię przyniosły mu złoty włos, pochwalił Tristana i stu rycerzy, którzy na błędnym statku poszli dlań szukać radości oczu i serca. Niestety, i tobie także, szlachetny królu, statek przywiózł dotkliwą żalobę i srogie cierpienia!

W ośmnaście dni potem, zwoławszy wszystkich baronów, Marek pojął za żonę Izoldę Jasnowłosą. Ale kiedy przysłała noc, chcąc ukryć niesławę królowej i ocalić ją od śmierci, Brangien zajęła miejsce Izoldy w łóżnicy małżeńskiej. Jako karę za złą straż, którą sprawowała na morzu, dla miłości pani i przyjaciółki poświęciła wierna służka czystość swego ciała; ciemność nocy ukryła królowi podstęp jej i hańbę.

Bajarze powiadają tutaj, że Brangien nie rzuciła do morza naczynia z winem nasyconym ziołami, niezupełnie wysączonym przez kochanków; ale że rano, skoro pani weszła z kolei w łóżko króla Marka, Brangien wylała do pucharu resztkę napoju i podała małżonkom; że Marek popił obficie, Izolda zaś wylała swą część ukradkiem. Ale wiedźcie, że ci bajarze skazili historię i znieprawili ją. Jeśli wymyślili to łgarstwo, to dlatego, iż nie mogli zrozumieć cudownej miłości, jaką Marek żywił zawsze dla królowej. Zaiste, jak to usłyszycie niebawem, nigdy, mimo udreki, żalu i straszliwej pomsty, Marek nie mógł wygnać z serca Izoldy ani Tristana; ale wiedźcie, panowie, iż nie napił się on zielnego wina. Ani trucizna, ani czary, jedynie tkliwa szlachetność serca natchnęła w nim tę miłość.

Izolda jest królową i zda się żyć w szczęściu. Izolda jest królową i żyje w żalobie. Izolda posiada serce króla Marka, baronowie czczą ją, drobniejszy ludęk miłuje. Izolda pędzi dni w komnatach bogato malowanych i zasłanych kwiatami. Izolda ma szlachetne klejnoty, sukna z purpury i kobierce zwiezione z Tesalii, śpiewy lutnistów, opony, na których są wyrobione lamparty, orzełki, papugi i wszystkie bydłęta mórza i lasów. Izolda ma swoje żywe, swe piękne miłowanie i Tristana koło siebie do woli, i w dzień, i w nocy; jak bowiem chce obyczaj u możnych państwa, sypia on w komnacie królewskiej, wśród jego zaufanych i wiernych. Izolda drży wszelako. Dlaczego drży? Żali nie dzierży swej miłości w tajemnicy? Któż podejrzewałby Tristana? Któż podejrzewałby syna? Kto ją widzi? Kto szpieguje? Co za świadek? Tak, świadek ją szpieguje. Brangien; Brangien ją śledzi; Brangien jedna zna jej życie, Brangien trzyma ją na swej łasce. Boże! Gdyby sprzykrzywszy sobie narządzać każdego dnia, jako sługa, łożę, w którym legła ongi pierwsza, gdyby ich oskarżyła przed królem! Gdyby Tristan miał umrzeć przez jej zdradę!... Tak strach poraził królowę. Nie, to nie od wiernej Brangien, to z własnego serca płynie jej udreka. Słuchajcie, pany miłociwe, wielkiej zdrady, którą umyśliła; ale Bóg, jako wraz usłyszycie, ulitował się nad nią; wy także miejcie dla niej litość!

Tego dnia król i Tristan byli daleko na łowach i Tristan nie przeznał tej zbrodni. Izolda zawołała dwóch niewolników, przyrzekła im wolność i sześćdziesiąt złotych bizantów, jeśli przysięgną spełnić jej wolę. Złożyli przysięgę.

– Oddam wam – rzekła – młodą dziewczynę; zawieźcie ją do lasu, daleko lub blisko, ale w takie miejsce, aby nikt nigdy nie odgadł tej przygody; tam zabijecie ją i przyniesiecie mi język. Zauważcie słowa, które powie, abyście mogli powtórzyć. Idźcie; skoro wrócicie, będziecie wolni i bogaci.

Następnie zawołała Brangien:

<sup>5</sup> Nad wszystkich byłbym wywyższony,  
Gdybym dostał taką koszulę,  
Jaką Izolda dała kochankowi,  
A której już więcej nie nosił.  
(Przeł. Z. Czerny)

– Droga, czyli nie widzisz, jak ciało moje dręczy się i więdnie; zali nie pójdziesz poszukać w lesie ziół, skutecznych na me cierpienie? Oto dwaj słudzy, którzy cię zaprowadzą: wiedzą, gdzie rosną zbawcze zioła. Idźże za nimi, siostrze, wiedz dobrze, iż jeśli wysyłam cię do lasu, to dlatego, iż idzie o mój spokój i życie! Słudzy powiedli ją. Przybywszy do lasu chciała się zatrzymać, zbawienne zioła rosły dokoła obficie. Ale oni pociągnęli ją dalej.

– Pójdź, dziewczę, nie tutaj jest dogodne miejsce. Jeden ze sług szedł przed nią, towarzyszył jej za nią. Już ani śladu udeptanej ścieżki, jeno same głogi, ciernie i osty splątane. Wówczas człowiek, który szedł pierwszy, wy dobył miecz i odwrócił się; rzuciła się ku drugiemu, aby go prosić o pomoc, ale on trzymał również nagi miecz w garści i rzekł:

– Tak, dziewczę, trzeba nam cię zabić. Brangien upadła na trawę; ramiona jej starały się odwrócić ostrze mieczów. Błagała o litość tak żalosnym i czułym głosem, aż rzekli:

– Ej, dziewczyno, jeśli królowa Izolda, twoja i nasza pani, chce, abyś umarła, musiałaś zaiste ciężko jej przewinąć.

Odparła:

– Nie wiem, przyjaciele; przypominam sobie tylko jedną winę. Kiedy wyruszaliśmy z Irlandii, miałyśmy obie, jako najdroższy strój, koszulę białą jak śnieg, koszulę na naszą noc ślubną. Otóż, zdarzyło się na morzu, że Izolda podarła swą godową koszulę i na noc ślubną pożyczyła jej mojej. Oto, przyjaciele, jedyna wina, której się dopuściłam. Ale skoro chce, bym umarła, powiedzcie jej, że ślę jej miłość i pozdrowienie i dziękuję za wszelkie dobro i cześć, które mi wyświadczyła, od czasu gdy, dzieckiem porwaną od piratów, sprzedano mnie królowej za służkę. Niechaj Bóg, w dobroci swej, strzeże jej czci, ciała, życia! Bracia, teraz uderzajcie! Słudzy uczuli litość. Naradzili się z sobą i uznając, iż może taka przewina nie zasługuje na śmierć, przywiązali ją do drzewa.

Następnie zabili młodego psa; jeden z nich obciął mu język, schował za pazuchę sukmany i obaj stanęli przed Izoldą.

– Czy mówiła co? – spytała trwożna.

– Tak, królowo, mówiła. Rzekła, iż zasłużyła na twój gniew jedną tylko przewiną: iż podarłaś na morzu koszulę białą jak śnieg, którą wiozłaś z Irlandii, i ona pożyczyła ci swojej na noc weselną. Oto, mówiła, jedyna zbrodnia. Kazała ci złożyć dzięki za tyle dobrodziejstw doznanych od ciebie od dzieciństwa i prosiła Boga, by .chronił twą cześć i życie. Przekazuje ci pozdrowienie i miłość. Królowo, oto przynosimy jej język.

– Mordercy – wykrzyknęła Izolda – oddajcie mi Brangien, mą drogą służebnicę! Czyż nie widzieliście, że ona mi jest jedyną przyjaciółką? Mordercy, oddajcie mi ją!

– Królowo, słusznie to powiadają: „Kobieta zmienia się z każdą godziną; w tej samej chwili śmieje się, płacze, kocha, nienawidzi.” Zabiliśmy, ponieważ tak kazałaś.

– Jak mogłam kazać? Za jaką zbrodnię? Czyż ona nie była mą drogą towarzyszką, słodką, wierną, wdzięczną? Kłamiecie, mordercy, posłałam ją, aby szukała ziół lekarskich, i nakazałam wam, byście jej strzegli w drodze. Ale ja powiem, żeście ją zabili, i każe spalić was na wolnym ogniu.

– Królowo, wiedz tedy, że żyje i przywieziemy ci ją zdrową i całą.

Ale ona nie wierzyła i jak obłąkana kolejno przeklinała morderców i przeklinała siebie samą. Zatrzymała jednego ze sług przy sobie, gdy drugi śpieszył ku drzewu, gdzie Brangien była przywiązana.

– Krasawico, Bóg zmiłował się nad tobą, oto pani cię przyzywa.

Stanąwszy przed Izoldą Brangien uklękła prosząc, aby jej przebaczyła winy; ale królowa też upadła przed nią na kolana i obie tuląc się wzajem w uścisku długo szlochały.



## WIELKA SOSNA

*Isot ma drue, Isot m'amie,  
En vos ma mort, en vos ma vie!*<sup>6</sup>  
Godfryd ze Strasburga

Nie wiernej Brangien, ale siebie samych kochankowie winni się obawiać. Ale w jaki sposób pijane ich serca umiałyby być czujne? Miłość ich przypiera, tak jak pragnienie pcha, ku strumieniowi dogorywającego jelenia lub jak krogulec, nagle wypuszczony po długim poście, rzuca się na ofiarę. Niestety miłości nie da się ukryć! Wierę, dzięki czujności Brangien, nikt nie zaskoczył królowej w ramionach przyjaciela; ale o wszystkim porze, na wszystkim miejscu, czyż każdy nie widzi, jak pragnienie miota nimi, dławi ich, kipi ze wszystkich zmysłów, tak jak świeży moszcz pianą ocieka z naczynia?

Już czterej zdrajcy ze dworu, którzy nienawidzą Tristana za jego dzielność, krążą dokoła królowej. Już znają prawdę jej słodkiego miłowania. Pałają żądzą, nienawiścią i radością. Zaniosą królowi nowinę, ujrzą, jak czułość jego przemieni się we wściekłość; ujrzą Tristana wygnanym lub wydanym na śmierć i także męczarnie królowej. Lękają się wszelako gniewu Tristana, ale wreszcie nienawiść zwyciężyła strach. Jednego dnia czterej baronowie zawołali króla Marka do sali radnej i Andret rzekł:

– Miły królu, z pewnością serce twoje skrwawi się i wszyscy czterej bolejemy nad tym wielce, ale trzeba nam wyjawić, cośmy spostrzegli. Pomieściłeś serce swoje w Tristanie, a Tristan chce cię zhańbić. Próżnośmy cię ostrzegali: dla miłości jednego człowieka za nic masz krewieństwo i całą baronię i niechasz nas wszystkich. Wiedz tedy, że Tristan miłuje królowę, to dowiedziona prawda, i gadają już o tym szeroko po kraju.

Szlachetny król zachwiał się i rzekł:

– Nikczemny! Jakąż podłość pomyślałeś! Zaprawdę, pomieściłem serce w Tristanie. W dniu, w którym Morhołt wyzwał was na walkę, pospuszczaliście wszyscy głowy, drżący i podobni niemowom; ale Tristan stawiał mu czoło dla czci tej ziemi i przez każdą z ran dusza jego mogła ulecieć. Dlatego to wy go nienawidzicie i dlatego ja go kocham więcej niż was, Andrecie, więcej niż was wszystkich, więcej niż kogo na ziemi. Ale co twierdzicie, żeście odkryli? Coście widzieli? Coście słyszeli?

– Nic, w istocie, panie; nic, czego by oczy twoje nie mogły widzieć; nic, czego by uszy twoje nie mogły słyszeć. Patrz, słuchaj, miły panie; może czas jeszcze.

I oddaliwszy się pozwolili mu do syta trawić jad trucizny.

Król Marek nie mógł się otrząsnąć ze złego uroku. Wbrew sercu, on znowu śledził siostrzeńca, śledził królowę. Ale Brangien przejrzała to, ostrzegła ich i daremnie król starał się doświadczyć Izoldę podstępem. Zmierzył sobie niebawem tę szpetną walkę; rozumiejąc, iż nie zdoła już wygnać podejrzania, przywołał Tristana i rzekł:

– Tristanie, oddał się z zamku; skoro go opuścisz, nie waż się już przestąpić tych bram i szranków. Niegodziwcy obwiniają cię o ciężką zdradę. Nie pytaj, nie mógłbym powtórzyć ich poduszczeń bez hańby dla nas obu. Nie szukaj słów dla uspokojenia mnie, czuję, iż zostałyby daremne. Nie wierzę oskarżycielom; gdybym wierzył, żali nie byłbym cię już wydał na śmierć haniebną? Ale ich złośliwe podszepty zmąciły mi serce; jedynie twój odjazd zdoła je ukoić. Jedź; bez wątpienia przywołam cię niebawem; jedź, synu mój, zawsze mi drogi!

Skoro zdrajcy usłyszeli nowinę: „Odjechał – mówili między sobą – odjechał ten czarownik wypędzony jak łotr! Cóż on może począc z sobą teraz? Ani wątpić, przeprawi się za morze, aby szukać przygód i zanieść swe niewierne służby jakiemu dalekiemu królowi.”

Nie, Tristan nie miał siły odjechać; kiedy minął mury i fosy zamkowe, poznał, iż nie potrafi więcej się oddalić. Zatrzymał się w samym mieście Tyntagielu, zajął gospodę z Gorwenalem w domu mieszczanina i charlał tam, dręczony febrą, bardziej sięgnięty w serce niż niegdyś w dniach, gdy oręż Morhołta zatrzał mu był ciało. Niegdyś, kiedy leżał w szałasie wzniesionym nad brzegiem morza i kiedy wszyscy umykali przed zaduchem jego ran, trzech ludzi bodaj wspomagało go: Gorwenal, Dynas z Lidanu i król Marek. Teraz Gorwenal i Dynas trwali jeszcze przy jego wezglowiu, ale król Marek nie przychodził. Tristan wzdychał; „Wierę, miły wuju, ciało moje wydaje smród bardziej odrażającej trucizny, oto i miłość twa nie zdoła już pokonać wstrętu.”

Ale bez odpocznienia, w żarze gorączki, żądza ciągnęła go niby rozhukanego konia ku szczelnie zamkniętym wieżyciom, które dzierżyły w zamknięciu królową. Koń i jeździec kruszyli się o mury z kamienia; ale wraz koń i jeździec podnosili się i podejmowali na nowo tę samą gonitwę.

<sup>6</sup> Izolt, kochanko, Izolt, przyjaciółko,  
W tobie ma śmierć, w tobie życie.  
(Przeł. Z. Czerny)

Poza szczelnie zamkniętymi wieżycami Izolda Jasnowłosa usycha także, jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Wśród obcych, którzy ją śledzą, trzeba jej cały dzień udawać śmiech i wesele, w nocy zaś trzeba jej trwać nieruchomo wyciągniętej przy boku króla Marka i przezwyciężać drgania członków i dreszcze gorączki. Chce uciekać ku Tristanowi. Zdaje się jej, że wstaje i biegnie aż do drzwi; ale na ciemnym progu zdrajcy ustawili wielkie kosy: wyostrome i złośliwe klingi chwytają w przechodząc delikatne kolana. Zdaje się jej, że pada i że z podciętych kolan tryskają dwie czerwone fontanny.

Niebawem kochankowie pomrą, jeśli ich nikt nie wspomże. I któż ich wspomże, jeżeli nie Brangien? Z niebezpieczeństwem życia przemknęła się do domu, gdzie Tristan usycha. Gorwenal otwiera jej uradowany, a ona, aby ocalić kochanków, uczy Tristana podstępu.

Nie, pany miłościwe, nigdy, nigdy nie słyszeliście pewnie gadki o piękniejszym podstępie miłosnym.

Pod zamkiem tyntagielskim rozciągał się sad rozległy i ubezpieczony silną palisadą. Piękne drzewa rosły tam bez liku, brzemienne owocami, ptactwem i pachnącym gronem. W miejscu najbardziej oddalonym od zamku, tuż obok kołów palisady, wznosiła się wysoka i prosta sosna, której krzepki pień dźwigał szerokie gałęzie. U jej stóp tryskało żywe źródło: woda rozlewała się zrazu szeroką płachtą, jasna i spokojna, okolona cembrowaniem z marmuru; potem ujęta w dwa ciasne brzegi, pomykała przez sad i, wnikając w samo wnętrze zamku, biegła przez komnaty niewiast.

Otóż każdego wieczora Tristan za radą Brangien strugał misterne kawałki kory i małe gałązki. Przeskakiwał ostre pale i przybywszy pod sosnę rzucał drewnienka do źródła. Lekkie jak piana płynęły i toczyły się z wodą, zaś w komnatach niewieścich Izolda śledziła ich przybycie. Natychmiast, w owe wieczory, kiedy Brangien zdołała oddalić króla Marka i zauszników, Izolda śpieszyła do przyjaciela.

Przybywa, zwinna i trwożna zarazem, śledząc przy każdym kroku, czy zausznicy nie zasadzili się za drzewami. Ale skoro Tristan ją zoczył, z otwartymi ramionami rzuca się ku niej. Wówczas chroni ich noc i życzliwy cień wielkiej sosny.

– Tristanie – rzekła królowa – czyż żeglarze nie upewniają, że zamek tyntagielski jest zaczarowany i że czarnoksiężką mocą, dwa razy do roku, w zimie i w lecie, ginie i znika oczom? Teraz tak zginął. Czyż nie tu jest ów zaczarowany sad, o którym mówią opowieści harfiarzy: mur z powietrza zamyka go ze wszystkich stron; kwitnące drzewa, ziemia pachnąca; bohater żyje w nim nie starzejąc w ramionach swej miłej i żadna wroga siła nie może skruszyć muru z powietrza?

Już na wieżach tyntagielskich ozwały się trąby strażników zwiastujące świt.

– Nie – rzekł Tristan – mur z powietrza już rozpętał się oto i nie jest ci to sad zaczarowany. Ale jednego dnia, miła, pójdziemy razem w kraj szczęśliwy, z którego nikt nie wraca. Tam wznosi się zamek z białego marmuru; w każdym z tysiąca okien błyszczą zapalona świeca, w każdym rybałt gra i śpiewa melodię bez końca. Słońce nie świeci tam; ale nikt nie żałuje jego światła: to szczęśliwy kraj Żywych.

Ale na szczycie wież tyntagielskich brzask oświeca wielkie ciosy kładzione w szachownicę z zieleni i lazuru. Izolda odzyskała wesele; podejrzenie króla Marka rozprasza się; zasię przeciwnie, zdraдлиwcy odgadują, iż Tristan znowu zdybał się z królową. Ale Brangien sprawuje czaty tak dobrze, iż śledzą na próżno. Wreszcie diuk Andret, niech go Bóg pohańbi, rzekł do towarzyszów:

– Panowie, zasięgnijmy rady u Frocyna, garbatego karła. On zna siedm sztuk, magię i wszystkie rodzaje czarów. Umie przy urodzeniu dziecka zbadać tak dobrze siedm planet i bieg gwiazd, że opowiada z góry wszelkie wypadki życia. Odsłania mocą czartowskich znaków wszystkie rzeczy tajemne. On nas pouczy, jeśli zechce, o zdradach Izoldy Jasnowłosej.

W nienawiści swej do krasy i dzielności mały, zły człowieczek nakreślił czarodziejskie znaki, odmówił zaklęcia, zważył bieg Oriona i Lucyfera i rzekł:

– Żyćcie w weselu, mili panowie; tej nocy zdołacie ich pochwyć. Zaprowadzili go przed króla.

– Panie – rzekł czarnoksiężnik – każ, niech twoi łowczowie założą smycze ogarom i okułaczą konie; oznajm, iż siedm dni i siedm nocy będziesz żył w boru na łowach. Możesz mnie powiesić na widłach, jeśli tej nocy jeszcze nie usłyszysz, jakie pogwarki wiedzie Tristan z królową.

Król wbrew sercu usłuchał. Skoro noc zapadła, zostawił łowczych w lesie, wziął karła za siebie na siodło i wrócił do Tyntagielu. Przez wiadome sobie wejście wszedł do sadu, karzeł zaś zaprowadził go pod wielką sosnę.

– Miły królu, trzeba ci wejść na gałąź. Zabierz z sobą łuk i strzały; zdadzą ci się może. I sprawuj się cichutko; nie będziesz czekał długo.

– Idź precz, psie Nieczystego! – odparł Marek. I karzeł odszedł uprowadzając konia. Prawdę powiedział: król nie czekał długo. Tej nocy błyszczał jasny i piękny księżyc. Ukryty w gałęziach król ujrzał siostrzeńca, jak skacze przez ostre pale. Tristan przyszedł pod drzewo i rzucił w wodę wióry i gałązki. Ale kiedy rzucając je nachylił się nad źródłem, ujrzał odbity w wodzie obraz króla. Ach, gdyby mógł zatrzymać pomykające gałązki! Ale nie, biegną chyżo przez sad. Tam, w komnatach niewieścich, Izolda śledzi ich zjawienie: już, bez ochyby, widzi je, nadbiega. Niech Bóg ma kochanków w swej pieczy!

Nadchodzi. Siedząc nieruchomo Tristan patrzy na nią i słyszy wśród gałęzi szelest grotu napinającego cięciwę łuku.

Nadchodzi, zwinna a ostrożna wszelako, jako zwykła. „Co to takiego? – pomyślała. – Czemu Tristan nie wybiega dziś wieczór na spotkanie? Czyżby spostrzegł jakiego nieprzyjaciela?”

Zatrzymuje się, przetrząsa spojrzeniem ciemne zarośla; nagle przy blasku księżycy spostrzega i ona cień króla w sadzawce. Okazała iście kobiecą roztropność, że nie podniosła oczu ku gałęziom.

– Boże miłosierny – szepnęła cicho – pozwól jeno, bym mogła przemówić pierwsza!

Zbliża się jeszcze. Słuchajcież, w jaki sposób uprzedza i ostrzega miłego:

– Panie Tristanie, na coś się ośmielił? Ściągać mnie w takie miejsce o tej porze! Wiele już razy wzywałeś mnie tutaj; chcesz błagać mnie o coś, powiadałeś. I cóż masz za prośbę? Czego spodziewasz się po mnie? Przybywam wreszcie, nie mogłam bowiem zapomnieć, iż będąc królową winna ci to jestem. Otom przybyła: czego żadasz?

– Królowo, żebrać u ciebie łaski, iżbyś ukoili króla!

Ona drży i płacze. Ale Tristan chwali Wszchemocnego Boga, iż ukazał miłej niebezpieczeństwo.

– Tak, królowo, wzywałem cię często i zawsze na próżno; nigdy, od czasu jak król mnie wypędził, nie raczyłaś przyjść na me wezwanie. Ale ulituj się nad nieszczęślikiem; oto król mnie nienawidzi, nie wiem dla jakiej przyczyny, ale ty znasz ją może. Któż mógłby zażegnać jego gniew, jeśli nie ty jedna, szczerza królowa, nadobna Izolda, w której serce jego pokłada całą ufność?

– Jakże to, panie Tristanie, żali nie wiesz jeszcze, że on podejrzewa nas oboje? I o jaką zdradę! Trzebaż na domiar wstydu, bym ja pouczyła cię o tym? Mój pan mniema, jako miłuję cię grzeszną miłością. Bóg to wie wszelako i jeśli kłamię, niechaj pohańbi me ciało. Nigdy nie obdarzyłam miłością żadnego mężczyzny prócz tego, który pierwszy wziął mnie, dziewicę, w ramiona. I ty chcesz, Tristanie, bym ja błagała króla o przebaczenie dla ciebie? Ależ gdyby wiedział bodaj, że przyszłam tu pod tę sosnę, kazałby rzucić moje popioły na wolę wiatrów! Tristan jęknął:

– Miły wuju, toć powiadają: „Nie jest ten łotrem, kto nie popełnia łotrostwa.” Ale w czym sercu mogło się zrodzić takie podejrzenie?

– Panie Tristanie, co chcesz powiedzieć? Nie, król, mój pan, nie byłby sam z siebie umyślił takiej szpetoty. Ale zdrajcy tej ziemi wmówili wąż kłamstwo, łatwo bowiem oszukać wierne serce. „Miłują się” – powiedzieli mu, i zdrajcy obrócili to nam za zbrodnię. Tak, miłowałeś mnie, Tristanie, czemu przeczyć? Czyż nie jestem żoną twego wuja i czy dwa razy nie zbawiłam cię od śmierci? Tak, i ja miłowałam cię wzajem: czy nie należysz do rodziny króla i czy nie słyszałam po wielokroć od matki, iż żona nie kocha swego pana, jeżeli nie kocha panowego krewieństwa? Dla miłości króla miłowałam cię, Tristanie; i teraz jeszcze, jeśli cię wróci do łaski, radać będę. Ale ciało moje drży, lękam się, odchodzę, zbyt długo już pozostałam.

W górze, w gałęziach, król uczul litość i uśmiechnął się łagodnie.

Izold ucieka, Tristan woła za nią:

Królowo, przez imię Zbawiciela, przyjdź mi z pomocą, przez litość! Tchórze chcieli odsunąć od króla wszystkich, którzy go kochają; udało się im i teraz dworują z niego. Dobrze więc; odejdę z tego kraju w dal, nędzny, jak niegdyś przybyłem. Ale iżbym bez wstydu mógł odjechać, tyle przynajmniej uzyskaj od króla, niechaj w uznaniu dawnych zasług da mi ze swego dobra tyle, abym mógł zapłacić, com dłużen, wykupić konia i zbroję.

– Nie, Tristanie, me powinienes zwracać się do mnie z tym żądaniem. Jestem sama na tej ziemi, sama w pałacu, gdzie nikt mnie nie kocha, bez oparcia, na łasce króla. Jeżeli powiem słowo za tobą, czyż nie widzisz, że narażam się na haniebną śmierć? Przyjacielu, niech Bóg cię wspomaga! Król nienawidzi cię bardzo niesłusznie. Ale do jakiej bądź ziemi się udasz, Bóg Wszchemocny będzie ci szczerym przyjacielem.

Uchodzi pędem aż do komnaty, gdzie Brangien bierze ją drżącą w ramiona; królowa powiada jej całą przygodę. Brangien wykrzykuje:

– Izold, pani moja, Bóg sprawił dla ciebie wielki cud! Jest ojcem współczującym i nie chce krzywdy tych, których zna jako niewinnych.

Pod wielką sosną Tristan oparty o cembrowanie z marmuru zawodził:

– Niechaj Bóg zlituje się nade mną i naprawi wielką niesprawiedliwość, którą cierpię od mego drogiego pana!

Skoro przesadził ogrodową palisadę, król rzekł z uśmiechem:

– Miły siostrzeńcze, błogosławiona niech będzie ta godzina! Wiedz, że daleka wędrówka, którą gotowałeś dziś rano, już skończona!

Het w dali, na polance lasu, karzeł Frocyn zapytywał biegu gwiazd, ale wyczytał w nich, że król groził mu śmiercią; posiniał ze wstydu i strachu, odął się z wściekłości i uciekł chyżo ku ziemi walijskiej.

## KARZEŁ FROCYN

*We dem selbin getwege,  
Daz her den edelin man vorrit!*<sup>7</sup>  
Eilhart z Obergu

Król Marek pojednał się z Tristanem. Dał mu pozwolenie na powrót do zamku i jako niegdyś Tristan sypia w komnacie króla wśród wiernych i zaufanych. Wedle ochoty może wchodzić, może wychodzić i król nie troska się już o to. Ale kto zdoła długo utrzymać swe miłowanie w tajemnicy?

Marek przebaczył oszczercom; zasię kasztelan Dynas z Lidanu, znalazłszy jednego dnia w dalekim lesie błądzącego i nędznego garbatego karła, przywiódł go przed króla, który ulitował się i przebaczył winę.

Ale dobroć jego podsyciła jeszcze nienawiść baronów; zdybawszy znowuż Tristana i królowę związali się takim ślubem: jeżeli król nie wygna siostrzeńca poza granice kraju, cofną się do swych warownych zamków, aby z nim wojować. Zawołali króla do sali radnej.

– Królu, miłuj nas, nienawidź nas, jak wola, ale żądamy, abys wypędził Tristana. On kocha królowę, widzi to każdy, kto chce widzieć, ale my nie ścierpimy tego dłużej!

Król słyszy ich, wzdycha, chyli czoło ku ziemi, milczy.

– Nie, królu, nie ścierpimy już; wiemy bowiem, że ta nowina, osobliwa niegdyś, nie może cię już zaskoczyć i że godzisz się na ich zbrodnię. Co poczniesz? Rozważ to i naradz się z sobą. Co do nas, jeżeli nie oddalisz siostrzeńca bezpowrotnie, zamkniemy się w baroniach i ściagniemy sąsiady nasze z twego dworu, nie możemy bowiem ścierpieć, aby tu zostali. Taki oto wybór ci dajemy; wybieraj tedy!

– Panowie, raz uwierzyłem w szpetne słowa, które mówiliście o Tristanie, i żalowałem tego. Ale wy jesteście wierni lennicy i nie chcę tracić usług swoich ludzi. Radźcie tedy, proszę was o to, jesteście mi winni radę. Wiecie dobrze, że unikam wszelkiej pychy i przemocy.

– Zatem, panie, wezwij tu karła Frocyna. Nie ufasz mu z przyczyny spotkania w sadzie. Wszelako, Żali nie wyczytał w gwiazdach, że królowa przyjdzie tego wieczora pod sosnę? On wie dużo rzeczy, poradź się go. Nadbiegł przeklęty karzeł; Denoalen uściskał go. Słuchajcież, jakiego podstępu nauczył króla:

– Panie, nakaz siostrzeńcowi, aby jutro, skoro świt, ruszył do Karduel zanieść królowi Arturowi pismo na pergaminie, pięknie opieczętowane woskiem. Królu, Tristan sypia w podległym twemu łożu. Wyjdź z komnaty o godzinie pierwszego snu, a przysięgam na Boga i na prawo Rzymu, iż jeśli kocha Izoldę szaloną miłością, zechce z nią mówić przed wyjazdem; ale jeśli przyjdzie tak, iżbym ja o tym nie wiedział i abys ty tego nie widział, wówczas zabij mnie. Co się tyczy reszty, pozwól mi prowadzić rzecz wedle mojej głowy i strzeż się jeno wspomnieć Tristanowi o poselstwie przed godziną spoczynku.

– Tak – odparł Marek – niechże się stanie! Wówczas karzeł dopuścił się szpetnej zdrady. Zaszedł do piekarza i kupił za cztery grosze cienkiej mąki, którą ukrył za pazuchą. Ha, któż by kiedy wpadł na podobną zdradę?! Za nadejściem nocy, kiedy król powieczerał i ludzie posnęli w dużej izbie sąsiadującej z komnatą monarszą, Tristan przyszedł, jako miał obyczaj, ułożyć króla do spoczynku.

– Miły siostrzeńcze, uczyn mą wolę: pojedziesz do króla Artura, aż do Karduel, i dasz mu do odpieczętowania to pismo. Pozdrów go ode mnie i nie baw dłużej niż jeden dzień.

– Królu, zaniosę jutro.

– Tak, jutro, zanim dzień wstanie.

Oto i Tristan w wielkim niepokoju. Od jego łoża do łoża króla było nie więcej niż długość włóczni. Chwyciło go straszliwe pragnienie, aby pomówić z królową, i przyrzekł sobie w sercu, że o świcie, kiedy Marek będzie spał, on zbliży się do niej. Och, Boże, szalona myśl!

Karzeł leżał, jak miał obyczaj, w komnacie króla. Kiedy sądził, iż wszyscy śpią, wstał i rozsypał między łóżkiem Tristana a królową dobrze mieloną mąkę: gdyby jedno z kochanków podążyło ku drugiemu, mąka zachowałaby postać kroków. Ale kiedy rozsypywał, Tristan, który nie spał, spostrzegł go.

„Co to ma znaczyć? Ten karzeł nie ma zwyczaju służyć mi dla mego dobra; ale zawiedzie się; głupi byłby, kto by mu pozwolił wziąć odcisk nogi!”

O północy król wstał i wyszedł, a za nim karzeł garbaty. Ciemno było w komnacie; ani łuczyna płonącego, ani lampy. Tristan stanął prosto na łożku. Boże, po cóż powziął tę myśl? Ścisnął nogi, szacuje odległość, skacze i pada na łożko króla. Niestety poprzedniego dnia w lesie kiel wielkiego dzika skaleczył go w nogę i na jego

---

<sup>7</sup> Biada temu karłowi,  
Że ubiegł szlachetnego męża!  
(Przeł. Z. Czerny)

nieszczęście rana nie była przewiązana. Od naprężenia skoku otwiera się, broczy, ale Tristan nie widzi krwi, która ucieka i czerwieni prześcieradła. Zasię z zewnątrz, w świetle księżycy, karzeł mocą swego czarnoksięstwa poznał, iż kochankowie są razem. Zadrzał z radości i rzekł do króla:

– Idź, a jeżeli teraz nie zdybiesz ich społem, każ mnie powiesić.

Idą tedy do komnaty, król, karzeł i czterech zauszników. Ale Tristan usłyszał ich: zrywa się, skacze, dosięga łóżka... Niestety, w przelocie krew obficie spłynęła z rany na mąkę.

Oto wchodzi król, baronowie i karzeł, który niesie światło. Tristan i Izolda udawali, że śpią; byli sami w komnacie wraz z Perynisem, który spał u nóg Tristana i nie ruszał się. Ale król widzi na łóżku płótna całe szkarłatne i na ziemi białą mąkę zbroszoną świeżą krwią.

Wówczas czterej baronowie, którzy nienawidzili Tristana za jego dzielność, przytrzymują go na łóżku i grożą królowej, i szydzą, urągają jej i przyrzekają sprawiedliwą zapłatę. Odkrywają ranę, która broczy.

– Tristanie – rzekł król – żadne zapieranie nie zda się na nic; umrzesz jutro. Tristan woła:

– Opuść mi, panie; w imię Boga, który cierpiał mękę, panie, zlituj się nad nami!

– Panie, pomści j się! – odpowiadają zausznicy.

– Miły wuju, jeśli cię błagam, to nie dla siebie; cóż mi znaczy umrzeć? Wierę, gdyby nie obawa pogniwania ciebie, sprzedałbym drogo tę zniewagę tchórzom, którzy bez twojej ochrony nigdy nie ośmieliliby się dotknąć rękami mego ciała. Ale, przez cześć i miłość dla ciebie, zdaję się na twą łaskę; czyni ze mną wedle ochoty. Oto mnie masz, panie, ale litości dla królowej!

I Tristan pochyła się i korzy u jego stóp.

– Litości dla królowej, jeżeli bowiem jest w twoim dworze człowiek dość śmiały, aby podtrzymać kłamstwo, iż ją kochałem występłą miłością, gotów mu jestem stanąć do oczu na udeptanej ziemi. Królu, łaski dla niej w imię Boga, Pana Naszego!

Ale trzej baronowie związali go sznurami, jego i królową. Ach, gdyby wiedział, że nie będzie mu dozwolone dowieść niewinności w pojedynczej walce, raczej dałby się rozszarpać w sztuki, niżby ścierpiał, aby go związano tak szpetnie.

Ale pokładał ufność w Bogu i wiedział, że na udeptanej ziemi nikt nie ośmieli się dobyć broni przeciwko niemu. I zaiste sprawiedliwie pokładał ufność w Bogu. Kiedy przysięgał, że nigdy nie kochał królowej występłą miłością, zdrajcy śmieli się z zuchwałego szalbierstwa. Ale pytam was, panowie moi, wy, którzy wiecie prawdę o napoju wypitym na morzu i rozumiecie rzecz całą, żali powiadał kłamstwo? Nie uczynek dowodzi postępku, ale sąd. Ludzie widzą uczynek, ale Bóg widzi serca i on sam tylko jest prawdziwym sędzią. Ustanowił tedy, że każdy człowiek oskarżony będzie mógł bronić swego prawa za pomocą bitwy i On sam walczy po stronie niewinnego. Dlatego oto Tristan domagał się sprawiedliwości i bitwy i strzegł się w czymkolwiek chybić królowi Markowi. Ale gdyby mógł przewidzieć to, co się zdarzyło, pozabijałby zdrajców. Ach, Boże, czemuż ich nie pozabijał?

## SKOK Z KAPLICY

*Qui voit son cors et sa facon,  
Trop par avroit le cuer felon  
Qui n'en avroit d'Iseut pitie.*<sup>8</sup>  
Bérroul

Wśród ciemnej nocy biegnie przez miasto nowina: Tristana i królową pojmano, król chce ich zgładzić. Bogaci mieszczanie i lud ubogi – wszystko płacze.

„Ha, trzeba nam, zaiste, płakać! Tristanie, śmiały baronie, maszże więc umierać przez tak szpetną zdradę? A ty, miła królowo, pani uwielbiana, w jakiej ż ziemi zrodzi się kiedy królewska córka tak piękna, tak droga? Toż więc jest, karle garbaty, dzieło twego wróżbiarstwa? Niechby nigdy nie oglądał oblicza Boga ten, który zdybawszy cię nie utopi miecza w twoim ciele! Tristanie, wdzięczny, drogi przyjacielu, kiedy Morhołt przybywszy wydrzeć nasze dzieci wylądował na tym brzegu, nikt z baronów nie śmiał chwycić za broń i wszyscy milczeli podobni niemym. Ale ty, Tristanie, ty stoczyłeś walkę za nas wszystkich, za lud Kornwalii, i zabiłeś Morhołta; a on dosięgnął cię oszczepem, od czego omal nie pomarłeś za nas. Żali dzisiaj, przez wspomnienie tych czynów, godzi się przystać na twą śmierć?”

Płacze, krzyki podnoszą się w mieście, wszyscy biegną do pałacu. Ale taki jest gniew króla, iż nie ma tak potężnego i tak dumnego barona, który by się odważył rzucić bodaj słówko proszące zmiłowania.

Dzień się zbliża, noc pierzcha. Przed wschodem słońca Marek jedzie poza miasto na miejsce, gdzie miał obyczaj sprawować sądy i ogłaszać wyroki. Nakazuje, aby wyżłobiono dół, aby nzebierano doń wikliny i chrustu, białych i czarnych głógów wyrwanych z korzeniem.

O pierwszej godzinie poranku kazał okrzyknąć wici po kraju, aby zwołać co rychlej szlachtę Kornwalii. Zgromadzili się z wielkim pomrukiem, nie masz takiego, który by nie płakał, prócz karła z Tyntagielu. Wówczas król przemówił w te słowa:

– Panowie, kazałem wznieść ten stos z chrustu dla Tristana i dla królowej, ponieważ dopuścili się winy. Ale wszyscy krzyknęli:

– Sądu, królu! Sąd najpierw i oskarżenie, i obrona! Zabić ich bez sądu to wstyd i zbrodnia! Królu, łaski i zmiłowania dla nich!

Marek odpowiedział w gniewie:

– Nie, ani łaski, ani zmiłowania, ani oskarżenia, ani sądu! Przez tego Boga, który stworzył świat, jeśli ktokolwiek odważy się jeszcze żądać takiej rzeczy, spłonie pierwszy na tym stosie!

Nakazuje, aby rozpalono ogień i aby sprowadzono najsamprzód z zamku Tristana.

Chrust płonie, wszyscy milczą, król czeka.

Słudzy pognali aż do izby, w której kochankowie zostają pod pilną strażą. Wloką Tristana za ręce związane sznurami. Przebóg, hańba to była spętać go w ten sposób! Płacze od sromu; ale na co zdadzą mu się łyzy? Wiodą go haniebnie; zasię królowa wykrzykuje, prawie oszalała z męki:

– Ponieść śmierć, miły mój, byleś ty ocalał, ha, byłaby to wielka radość!

Strażnicy i Tristan idą za miasto w stronę stosu. Ale za nimi pędzi w cwał rycerz, dogania ich, skacze na ziem z rumaka jeszcze w biegu: to Dynas, zacyjny marszałek dworu. Na wieść o przygodzie śpieszył z zamku swego w Udanie, aż piana, pot i krew spływały koniowi po bokach.

– Synu, śpiesz na sądy królewskie. Bóg pozwoli mi może podać tam radę, która wspomże was oboje: już oto pozwala mi bodaj usłużyć ci drobną przychylnością. Przyjaciele – rzecze do sług – życzę, abyście go wiedli bez tych pętów – tu Dynas przeciął haniebne sznury – gdyby próbował uciec, żali nie macie nagich mieczów?

Całuje Tristana w usta, wskakuje na siodło i koń unosi go w pędzie.

Owóz słuchajcie, jak to Pan Bóg Wszzechmogący pełen jest litości. On, który nie chce śmierci grzesznika, przyjął życzliwie łyzy i lamenty biednych ludzi błagających go za udreńczonymi kochankami. Blisko drogi, którą przechodził Tristan, na szczycie skały wznosiła się nad morzem kapliczka zwrócona ku odmętom.

Chórek jej wsparty był na nagiej skale, wysokiej, kamienistej, o spadających ostro szkarpach; we framudze nad przepaścią była misternie składana szyba, zmyślne dzieło świętej ręki. Tristan rzekł do swych katów:

<sup>8</sup> Kto widział jej ciało i jej wzięcie,  
Miałby zbyt podłe serce,  
Gdyby nie litował się nad Izoldą.  
(Przeł. Z. Czerny)

– Panowie, widzicie tę kaplicę; pozwólcie mi wstąpić. Śmierć moja bliska, pomodłę się do Boga, aby zlitował się nade mną, którym Go tyle obraził. Panowie, kaplica ma tylko to wyjście; każdy z was dzierży miecz; wiecie dobrze, iż mogą przejść tylko tą bramą i kiedy pomodłę się do Boga, trzeba mi będzie oddać się z powrotem w wasze ręce!

Jeden ze strażników rzekł:

– Możemy przyzwolić.

Pozwolił mu wejść. Biegnie przez kaplicę, wdziera się na chórek, dostaje się do szyby we framudze, chwytając okno, otwiera je i skacze... Raczej runąć niż ponieść śmierć na stosie wobec takiego zgromadzenia!

Ale wiedźcie, panowie, iż Bóg użył mu swej świętej łaski; wiatr wzdyma jego szaty, podnosi go i składa na szerokim kamieniu u stóp skały. Ludzie z Kornwalii dziś jeszcze nazywają ten kamień Skokiem Tristanowym. A przed kaplicą tamci czekają ciągle. Ale na próżno. Bóg to bowiem wziął go teraz pod swą pieczę. Ucieka, miałki piasek umyka mu pod stopami. Pada, odwraca się, widzi z daleka stos; płomień trzeszczy, dym wznosi się. Ucieka.

Z przypasanym mieczem, z puszczoneymi cugłami, Gorwenal wymknął się z miasta; król byłby go kazał spalić zamiast jego pana. Dosięga Tristana na piaszczystej równi, Tristan zaś wykrzykuje:

– Nauczycielu, Bóg użył mi łaski! Ach, ja nędzny, i na cóż? Jeśli nie mam Izoldy, nic mi wszystko. Czemu raczej nie strzaskąłem się upadając! Uszedłem, Izoldo, a ciebie zabijają. Spalą ją za mnie; dla niej też i ja umrę.

A Gorwenal rzekł:

– Miły panie, wytchnij trochę, nie dawaj ucha żałości. Widzisz ten gęsty krzak okolony szerokim rowem; schowajmy się tam, ludzie przechodzą tłumnie drogą, udziela nam nowin. Jeśli Izolda zginie, synu, przysięgam na Boga, Syna Maryi, nigdy nie spocząć pod dachem, aż do dnia, w którym ją pomścimy.

– Miły nauczycielu, nie mam miecza.

– Oto jest, przyniosłem ci.

– Dobrze, nauczycielu, nie lękam się już niczego prócz Boga!

– Synu, mam jeszcze pod burką coś, co cię ucieszy: tę koszulkę stalową, lekką a mocną, która ci może posłużyć.

– Daj, miły nauczycielu. Na tego Boga, w którego wierzę, oswobodzę teraz swą miłą.

– Nie, nie śpiesz się – rzekł Gorwenal. – Ani wątpić, Bóg chowa dla cię jakąś pewniejszą zemstę. Pomyśl, iż nie jest w twojej mocy zbliżyć się do stosu; mieszczanie otaczają go i boją się króla; niejedni życzyliby z serca twego ocalenia, a i tak pierwszy zadałby cios. Synu, dobrze to mówią: szaleństwo to nie dzielność. Czekaj... Owo, kiedy Tristan skoczył z wysokiej skały, biedny człowiek z drobnego ludu widział go, jak się podnosił i uciekał. Pobiegł do Tyntagielu i wśliznął się aż do komnat Izoldy.

– Królowo, nie płacz! Twój miły ocalił się.

– Bóg – rzekła – niechaj będzie pochwalony! Teraz niech mnie więżą lub rozwiązują, niech oszczędzą lub zabijają, nie dbam o to!

Owóz zausznicy królewscy ścisnęli jej tak okrutnie sznury u garstek, iż krew tryskała. Ale ona uśmiechając się rzekła:

– Gdybym płakała dla tego cierpienia, wówczas gdy w swej dobroci Bóg wyrwał mego miłego zdrajcom, wierę, nie byłabym godna!

Skoro przyszła do króla wieść, że Tristan wymknął się przez oszklone okno, pobladł z gniewu i nakazał swym ludziom, aby mu przywiedli Izoldę.

Włoką ją; wywiedziona z komnaty, ukazuje się na progu; wyciąga drobne ręce, z których spływa krew. Lament wszczyna się na ulicy:

– O Boże, litości dla niej! Królowo miła, królowo uczczona, jakąż żałobę rzucili na tę ziemię ci, którzy cię wydali! Przekleństwo na nich!

Włoką królową aż do stosu z cierni, który płonie. Wówczas Dynas, pan z Lidanu, upadł do stóp królewskich.

– Panie, słuchaj mnie: służyłem ci długo bez zdrady, wiernie, nie czerpiąc żadnej korzyści; nie masz bowiem takiego biedaka ani sieroty, ani starej, co by mi dał grosz za tę kasztelanię, którą dzierżyłem całe życie. W nagrodę przyzwól mi to jedno – byś darował łaską Izoldę. Chcesz ją spalić bez sądu; toć to gwałt szczery, skoro ona nie przyznaje zbrodni, o którą ją oskarżasz. Zastanów się zresztą. Jeśli spalisz jej ciało, nie będzie już bezpieczeństwa na twojej ziemi. Tristan uszedł, zna wszystkie równiny, lasy, brody, przesmyki i jest śmiały. Wierę, jesteś mu wujem i nie porwie się na ciebie; ale wszystkich baronów, lenników twoich, których zdoła dosięgnąć, pozabija.

Aż czterej zausznicy pobledli słysząc to; już im się zdało, że widzą Tristana zaczajonego, który czyha na nich.

– Królu – rzekł kasztelan – jeśli prawdą jest, że dobrze ci służyłem całe życie, wydaj mi Izoldę, odpowiadam ci za nią jako jej stróż i ręczyciel.

Ale król wziął Dynasa za rękę i przysiął na imię świętych, że uczyni natychmiast sprawiedliwość.

Wówczas Dynas podniósł się.

– Królu, wracam do Lidanu i wyrzekam się twojej służby.

Izolda uśmiechnęła się doń smutnie. On dosiada rumaka i oddala się stroskany i markotny, z pochylonym czołem.

Izolda stoi nieruchomo naprzeciw płomieni. Dokoła ciżba ludu krzyczy, przeklina króla, przeklina zdrajców. Łzy spływają jej po twarzy. Ubrana jest w obcisłą szarą szatę, wzdłuż której biegnie cienka złota, złota nić wpleciona jest w jej włosy, które spadają aż do stóp. Kto by mógł oglądać ją tak piękną i nie zlitował się, miałby serce okrutnika. Boże, jakże ramiona jej ciasno spętane!

Owóz stu trędowatych, poczwarnych, z ciałem przeżartym i zetłatym, przybiegłszy na kulach z hałasem grzechotek cisnęło się naprzeciw stosu. Pod obrzękłymi powiekami oczy ich, nabiegłe krwią, cieszyły się widowiskiem.

Iwon, najbardziej ohydny z chorych, krzyknął na króla ostrym głosem:

– Królu, chcesz rzucić małżonkę w żar: to dobra kara, ale zbyt krótka. Ten wielki ogień strawi ją rychło, ten wielki wiatr wnet rozmiecie popioły. I kiedy płomień za chwilę opadnie, męka będzie ukończona. Czy chcesz, abym cię nauczył gorszej kary, w ten sposób, iżby żyła, ale z wielką hańbą i ciągle pożądając śmierci? Królu, czy chcesz?

Król odparł:

– Tak, życia dla niej, ale z wielką hańbą i gorszego niż śmierć... Kto mi wskaże taką męczarnię, będę go miłował.

– Królu, powiem ci tedy zwięźle swą myśl. Patrz, mam tu stu towarzyszków. Daj nam Izoldę i niech nam będzie wspólna! Choroba nasza podsyca w nas żądzę. Daj ją trędowatym: nigdy kobieta nie zaznała gorszego losu. Patrz, łachmany przylegają do naszych ran sączących ropę. Ona, która przy twoim boku kochała się w pięknych materiałach podbitych gronostajem, w klejnotach, w salach zdobionych marmurem, ona, która cieszyła się dobrym winem, czcią i weselem, kiedy ujrzy zagrodę trędowatych, kiedy jej trzeba będzie wejść w nasze niskie nory i legnąć z nami, wówczas Izold Krasawica, Jasnowłosa, uzna swój grzech i żałować będzie tego pięknego ognia i stosu!

Król słucha, wstaje i długo trwa nieruchomy. Wreszcie biegnie ku królowej i chwytą ją za rękę. Ona krzyczy:

– Przez litość, panie, spal mnie raczej, spal mnie!

Król wydaje Izoldę. Iwon ciągnie ją ku sobie; stu chorych cisnie się dokoła niej. Słyszac, jak krzyczą i skomlą, wszystkie serca topnieją z litości; ale Iwon jest pełen wesela. Już Izolda oddała się, Iwon uprowadza ją za rękę. Ohydny orszak znalazł się za miastem.

Skierowali się drogą, przy której zasadził się Tristan. Gorwenal wydaje okrzyk:

– Synu, co uczynisz? Otoć twoja miła! Tristan spiął konia i ruszył z zarośli.

– Iwone, dość już tego towarzystwa; zostaw ją teraz, jeżeli chcesz żyć. Ale Iwon odpina płaszcz.

– Śmiało, towarzysze! Do kijów! do szczudeł! Oto chwila, aby okazać swą dzielność!

Wówczas pięknie było widzieć trędowatych, jak odrzucają płaszcze, rozpierają się na chorych nogach, dyszą, krzyczą, potrząsają szczudłami; ten grozi, inszy pomrukuje. Ale mierzilo Tristana uderzyć na nich; bajaranze powiadają, iż Tristan zabił Iwona – szpetne to gadanie; nie, zbyt był waleczny, aby zabijać takie nasienie. To Gorwenal udarłszy srogą gałąź z dębu opuścił ją na głowę Iwona; czarna krew trysła i spłynęła aż do nóg pokracznych.

Tristan ujął królowę i oto już Izold nie czuje żadnego cierpienia. Przeciął sznury na rękach i wnet, opuszczając równinę, Tristan, Izolda i Gorwenal zapuścili się w las moreński. Tam, w mrocznym boru, Tristan czuje się bezpieczny niby za murem warownego zamku.

Gdy słońce pochyliło się ku zachodowi, zatrzymali się u stóp góry; strach zmorzył królową; skłoniła głowę na ciele Tristana i usnęła.

Rankiem Gorwenal ściągnął leśnemu łuk i dwie strzały dobrze opierzone i opatrzone grotem i dał je Tristanowi, śmiałemu łucznikowi, który zeszedł sarnę i zabił ją. Gorwenal nazbierał chrustu, dobył iskier z krzesiwa i rozpalil wielki ogień, aby upiec zwierzynę; Tristan naciął gałęzi, zbudował szałas i okrył go liśćmi; Izolda wysłała szałas gęstym mchem.

Wówczas w głębi dzikiego boru zaczęło się dla zbiegów życie twarde, ale lube.



*„Straciliśmy świat i świat stracił  
nas, co myślisz o tym, Tristanie  
mój miły?”*

*„Miła, kiedy ciebie mam z sobą,  
i czegoś mi trzeba? Gdyby i wszystkie  
światy były z nami, widziałbym tylko  
jedną ciebie.”*

Powieść prozą o Tristanie

W głębi dzikiego lasu w wielkim znoju jak ścigane zwierzęta błądzą i rzadko ważą się wrócić wieczorem do wczorajszego legowiska. Jedzą tylko mięso dzikich zwierząt i żałują smaku soli i chleba. Wychudłe ich twarze stały się blade, odzież opadła w strzępach, podarta przez głogi. Miłują się, nie czują cierpienia. Jednego dnia, przebiegając wielkie lasy, które nigdy nie zaznały siekiery, zabłądzili przypadkiem do pustelni brata Ogryna.

W słońcu, pod lekkim drzewem klonu, wpodłe kaplicy, stary człowiek opierając się na lasce szedł drobnym krokiem.

– Waleczny Tristanie – wykrzyknął – wiedz, jaką wielką przysięgę złożyli ludzie Kornwalii! Król kazał okrzyknąć wielkie wołanie po wszystkich parafiach; kto cię pochwyci, otrzyma sto sztuk złota jako zapłatę. Wszyscy baronowie przysięgli cię wydać żywym lub umarłym. Kajaj się, Tristanie, Bóg odpuszcza grzesznikowi, który czyni pokutę.

– Kajać się, ojczy Ogrynie? Z jakiej zbrodni? Ty, który nas sądzisz, żali wiesz, jaki napitek wypiliśmy na morzu? Tak, dobry sok upoił nas i oto wolałbym zebrać całe życie po drogach i żyć ziołami i korzonkami z Izoldą niż bez niej być królem pięknego królestwa.

– Panie Tristanie, niech Bóg cię wspomóż, zgubiłeś się bowiem i na tym świecie, i na tamtym. Kto zdradził pana, takiego powinno się rozerwać dwoma końmi, spalić na stosie; gdzie jego popiół padnie, tam trawa nie wyrasta i orka zostanie daremna; tam drzewo, zieleń umiera. Tristanie, oddaj królowę temu, kto ją zaślubił wedle prawa Rzymu.

– Nie jest już jego; wydał ją trędowatym; na trędowatych ją zdobyłem. Odtąd jest moja; nie mogę się z nią rozłączyć ani ona ze mną.

Ogryn usiadł; u jego stóp płakała Izolda z głową na kolanach człowieka, który cierpi dla Boga. Pustelnik powtarzał jej święte słowa Pisma, ale ona, zapłakana, wstrząsała głową i nie chciała uwierzyć.

– Niestety – rzekł Ogryn – jakież pociechy można uczynić zmarłym? Kajaj się, Tristanie, ten bowiem, który żyje w grzechu bez skruchy, jest umarły.

– Nie, żyję i nie kajam się. Wrócimy do lasu, który nam daje opiekę i schronienie. Chodź, Izold, przyjaciółko moja!

Izold podniosła się, wzięli się za ręce. Weszli w wysokie zielska i wrzosa; drzewa zamknęły za nimi gałęzie; znikli w gąszczu.

Słuchajcie, panowie mili, pięknego zdarzenia. Tristan wychował był psa, ogara, pięknego, żywego, lekkiego w biegu; ani hrabia, ani król żaden nie ma lepszego do polowania z łukiem. Wołano go Łapaj. Trzeba go było zamknąć w ogrodzeniu, spletanego za pomocą kłody uwieszanej u szyi; od dnia bowiem, w którym stracił z oczu pana, odmawiał wszelkiej strawy, drapał łapami ziemię, płakał, wył. Wielu litowało się nad nim.

– Łapaj – mówili – żadne zwierzę nie umie tak kochać jak ty; tak, Salomon mądrze to powiedział: „Prawdziwy przyjaciel to mój chart.”

I król Marek wspominając minione dni myślał w sercu: „Ten pies okazuje wiele rozumu, iż płacze za swoim panem: jestże bowiem ktoś w całej Kornwalii, który by wart był Tristana?”

Trzej baronowie przyszli do króla:

– Panie, każ odwiązać Łapaja, dowiemy się snadnie, żali czyni taki lament z przyczyny swego pana; inaczej ujrzysz, jak, ledwie odwiązany, z ziejącą paszczką, z wywieszonym językiem, zaczniesz ścigać ludzi i zwierzęta, aby je kasać.

Rozwiązują go. Skacze przez wrota i pędzi do izby, gdzie niegdyś był Tristan. Warczy, skuczy, biega, szuka, odnajduje wreszcie ślad pana. Przebiega krok za krokiem drogę, którą Tristan szedł w stronę stosu. Wszyscy idą za nim. Szczeka donośnie i drapie się na skałę. Oto już jest w kaplicy, skacze na ołtarz; nagle rzuca się przez okno, pada u stóp skały, odnajduje ślad na wybrzeżu, zatrzymuje się chwilę w kwitnącym krzu, w którym Tristan był się zaczął, wreszcie pomyka w stronę lasu. Nie było człowieka, izby nie litował się patrząc.

– Miły królu – rzekli wówczas rycerze – przestańmy iść za nim; mógłby nas zawieść w takie miejsce, z którego niełatwo byłoby wrócić.

Zostawili go i nawrócili. Znalazłszy się w gąszczu, pies zaszczekał donośnie, tak iż cały las odebrzmiał. Z daleka Tristan, królowa i Gorwenal usłyszeli go:

– To Łapaj!

Przelecieli się; ani chybi, to król ich ściga; ha, każe ich tropić, niby dzikie bestie, przez ogary!... Zanurzają się w gąszcz. Na skraju Tristan przykłęka z napiętym łukiem. Ale skoro Łapaj ujrzał i poznał pana, skacze ku niemu, kręci głową i ogonem; gnie krzyże, zwija się w kłębek. Kto widział kiedy podobną radość? Następnie pobiegł ku Izoldzie Jasnowłosej, ku Gorwenalowi, koniowi nawet się ucieszył. Tristan uczuł wielką żalność.

– Ha, przez jakieś nieszczęście odnalazł nas tutaj! Co może człowiek tropiony począc z tym psem, który nie umie zachować się cicho? Po równinach i lasach, po całej swej ziemi król szuka nas. Łapaj zdradzi nas szczekaniem. Ach, przez miłość to i przez szlachetność natury przyszedł szukać śmierci. Trzeba nam się chronić wszelako. Co czynić? Radźcie! Izolda popieściła Łapaja dłonią i rzekła:

– Panie, oszczędź go! Słyszałam o leśniczym walijskim, który nauczył psa, aby bez szczekania tropił ślady zranionych jeleni... Miły Tristianie, cóż za radość, gdyby się udało nie szczedząc mozołu przyuczyć tak Łapaja! Zadumał się chwilę, gdy pies lizał ręce Izoldy. Tristan uczuł litość i rzekł:

– Spróbuję; zbyt ciężko mi go zabijać. Niebawem Tristan wybrał się na łowy, poszczuł daniela, sięgnął go strzałą. Pies chce pomykać śladami daniela i szczeka tak głośno, że cały las rozbrzmiewa. Tristan uderzeniami zmusza go do milczenia. Łapaj podnosi głowę ku panu; dziwi się, nie śmie już szczekać, opuszcza ślad. Tristan bierze go do nogi, następnie uderza się po cholewie gałązką kasztana, jak czynią myśliwcy, aby pobudzić psy. Na ten znak Łapaj chce znowu szczekać i Tristan znów karci. Ucząc w ten sposób, nim jeszcze upłynął miesiąc, ułożył go, aby polował niemo. Kiedy strzała zraniła daniela lub sarnę, Łapaj nigdy nie wydając głosu tropił ślad po śniegu, po lodzie lub trawie; jeśli dopadł bydłęcia wśród drzew, umiał zaznaczyć miejsce znosząc gałązki; jeśli dosięgnął go na równinie, zbierał trawy na ubitą zwierzynę i wracał bez jednego szczeknięcia, aby sprowadzić pana.

Minęło lato. Przyszła zima. Kochankowie żyli w rozpadlinie skały; na ziemi stwardniałej od mrozu sople lodu jeżyły ich posłanie z zeschniętych liści. Dzięki potędze miłości ani jedno, ani drugie nie czuło swej nędzy.

Zasię kiedy przyszła życzliwsza pora, wzniesli pod wielkimi drzewami szałas z pozieleniałych gałęzi. Tristan znał od dzieciństwa sztukę udawania śpiewu ptaków leśnych; mógł wedle ochoty udać skowronka, sikorę, słowika i wszelki ród skrzydlaty i niekiedy pod gałęziami szałasów, przybywszy na jego wołanie, liczne ptaki z odętą gardzielią wiodły swe pieśni w pełnym słońcu.

Kochankowie nie przebiegali już lasu błędząc bez przerwy; żaden bowiem z baronów nie ważył się ich ścigać wiedząc, iż Tristan powiesiłby ich na gałęzi. Jednego dnia wszelako jeden ze zdrajców, Gwenelon (niech go Bóg skarże!), uniesiony zapałem polowania, ośmielił się puścić w okolice moreńskiego boru. Tegoż samego rana na skraju lasu, w wyrwie potoku, Gorwenal zdjawszy siodło ze swego rumaka dał mu się popaść świeżą trawą; opodał, pod altaną z liści, na kwietnym posłaniu, Tristan dzierzył królowę obłapioną w uścisku i oboje spali. Nagle Gorwenal usłyszał granie sfory: w wielkim pędzie psy ścigały jelenia, który rzucił się w rozpadlinę. Z daleka na równi ukazał się myśliwiec; Gorwenal poznał go: był to Gwenelon, człowieka, którego pan jego nienawidził ponad innych. Sam, bez giermka, z ostrogami wbitymi w krwawiące boki konia, smagając go po karku, nadbiegał. Zaczajony za drzewem Gorwenal czatuje nań; tamten nadjeżdża szybko, wolniej zasię przyjdzie mu wrócić!

Mija; Gorwenal wypada z zasadzki, chwyta za uzdę i przywodząc sobie w tejże chwili na oczy wszystko złe, które ten człowiek sprawił, strąca go z konia, siecze i odchodzi unosząc uciętą głowę. A tam pod altaną z liści, na kwietnym posłaniu, Tristan i królowa spali obłapieni ciasno. Gorwenal podszedł bez hałasu, z głową zabitego w dłoni.

Skoro myśliwcy znaleźli pod drzewem kadłub bez głowy, przerażeni, jak gdyby Tristan ich ścigał, uciekli lękając się śmierci. Od tego czasu nikt już nie waży się polować w tym lesie.

Aby ucieszyć przy obudzeniu serce pana, Gorwenal przywiązał za włosy głowę do sklepienia szałasów; gęste sitowie okalało ją wieńcem.

Tristan obudził się i ujrzał wpółukrytą za liśćmi głowę, która nań patrzyła. Poznał Gwenelona; zrywa się na nogi przestraszony. Ale nauczyciel jego krzyczy:

– Uspokój się, nieżywy jest, zabiłem go tym mieczem. Synu, to był twój nieprzyjaciół!

I Tristan weseli się; ten, którego nienawidził, Gwenelon, nie żywie.

Od tej pory nikt nie odważył się już zapuszczać do dzikiego boru, strach strzeże doń przystępu i kochankowie są w nim panami. Wówczas to Tristan uczynił sobie łuk Niechybny, który zawsze trafiał do celu, człowieka czy zwierzę, w zamierzone miejsce.

Panowie miłośnicy, było to w dzień letni, w czasie żniw, nieco po Zielonych Świątkach, i ptaki po rosie śpiewały na bliską jutrzeńkę. Tristan wyszedł z szałas, opasał miecz, narządził luk Niechybny i sam jeden poszedł na łowy do lasu. Nim zejdzie wieczór, przygodzi mu się wielka troska. Nie, nigdy kochankowie nie kochali się tak bardzo i nie odpokutowali tego tak ciężko.

Skoro Tristan wrócił z łowów, zmorzony srogim upałem, wziął królowę w ramiona.

– Miły mój, gdzie byłeś?

– Za jeleniem, który mnie znużył do cna. Patrz, pot spływa z moich członków; chciałbym położyć się spać. Pod sklepieniem zielonych gałęzi, na posłaniu ze świeżych ziół, Tristan wyciągnął się przy niej i złożył nagi miecz między ich ciała. Na swoje szczęście zachowali na sobie odzież. Królowa miała na palcu pierścień złoty z pięknym szmaragdem, który Marek dał jej w dzień zaślubin; palce stały się tak wychudłe, iż pierścień ledwie się trzymał. Jedno ramię Tristana spoczywało pod głową przyjaciółki, drugie miał przerzucone przez jej piękne ciało. Tak spali ciasno objęci, ale wargi ich nie były złączone. Ani najmniejszego podmuchu wiatru, ani najmniejszego drzenia listka. Przez sklepienie z zieleni promień słońca spłynął na twarz Izoldy, która błyszczała jak sopol lodu.

Otóż zdarzyło się, że leśniczy znalazł w lesie miejsce, gdzie trawy były zdeptane; poprzedniego dnia kochankowie tam spali. Nie poznał odcisku ich ciał, poszedł za śladami i dotarł do legowiska. Ujrzał, jak spali, poznał ich i uciekł lękając się straszliwego przebudzenia Tristana. Uciekł aż do Tyntagielu, o dwie mile stamtąd, wbiegł na stopnie wiodące do wielkiej komnaty i zastał króla, który sprawował sądy wśród zgromadzonych lenników.

– Przyjacielu, czego tu szukasz, zziąjany od biegu? Rzekłby ktoś, iż to psiarek, który długo gonił za psami. Czy i ty także chcesz się dopraszać sprawiedliwości za jakoweś krzywdy? Kto cię wygnał z mego lasu?

Leśny wziął króla na stronę i rzekł cicho:

– Widziałem królowę i Tristana. Spali, zląkłem się.

– W którym miejscu?

– W szałasie, w lesie moreńskim. Spali jedno obok drugiego utuliwszy się wzajem w ramionach. Chodź prędko, jeśli chcesz znaleźć pomstę.

– Idź czekać mnie u wnijsia do lasu, u stóp Czerwonego Krzyża. Nie mów żywej duszy o tym, co widziałeś; dam ci złota i srebra, ile zechcesz.

Leśny idzie i siada pod Czerwonym Krzyżem. Przeklęty niech będzie szpieg! Ale zginie haniebnie, jak ta historia pouczy was niebawem.

Król kazał okuľbaczyć konia, przypasał miecz i bez żadnej kompanii wymknął się z miasta. Jadąc tak samotnie, przypomniał sobie noc, w której przychwycił siostrzeńca: jakąż czułość jawiła wówczas Tristanowi Izold Krasawica o jasnej twarzy! Jeśli ich zdybie, ukarze te srogie przewiny; pomści się na tych, którzy go zhańbili... Pod Czerwonym Krzyżem zastał leśnego.

– Idź naprzód i prowadź mnie szybko i prosto. Czarny cień wielkich drzew otula ich. Król idzie za szpiegiem. Ufa w swój miecz, który niegdyś zadawał piękne ciosy. Ha, jeśli Tristan się zbudzi, jeden z dwu – Bóg to wie który – zostanie martwy na placu. Wreszcie leśny rzekł po cichu:

– Królu, zbliżamy się.

Potrzymał mu strzemię i przywiązał uzdę do gałęzi zielonej jabłoni. Zbliżyli się jeszcze i nagle na słonecznej polanie ujrzeli kwietny szałas.

Król rozwiązuje płaszcz o zapinkach ze szczerego złota i odsłania swe piękne ciało. Dobywa miecza z pochwy i powtarza w sercu, że chce zginać, jeśli ich nie zgładzi. Leśny idzie za nim, król daje znak, aby się wrócił.

Wchodzi sam jeden do szałas, z nagim mieczem i podnosi go... Ha, cóż za żaloba, jeśli wymierzy ten cios! Ale zauważył, iż usta ich nie stykają się i że nagi miecz rozdziela ich ciała.

„Boże – rzekł do siebie w myśli – cóż ja widzę! Trzebaż ich zabić? Żyjąc od tak dawna w tym lesie, gdyby się miłowali występłą miłością, żali położyliby ten miecz między siebie? Żali każdy nie wie, że nagi brzeszczot, który rozdziela dwa ciała, jest zakładnikiem i stróżem czystości? Gdyby się miłowali występłą miłością, czyż odpoczywaliby tak niewinnie? Nie, nie zabiję ich; to byłby wielki grzech ich ugodzić; gdybym obudził śpiącego i gdyby jeden z nas poległ, mówiono by o tym długo i na naszą hańbę. Ale tak uczynię, aby przy obudzeniu wiedzieli, że zastałem ich śpiących, że nie chciałem ich śmierci i że Bóg ulitował się nad nimi.”

Słońce, przechodząc przez sklepienie szałas, paliło białą twarz Izoldy; król zdjął rękawiczki oszyte gronostajem: „To ona – myślał – przywiozła mi je niegdyś z Irlandii!...” Umieścił je wśród liści, aby zamknąć dziurę, przez którą wnikał promień; następnie zdjął ostrożnie pierścień z kamieniem szmaragdu, który był dał królowej. Niegdyś trzeba go było siłować po trosze, aby nawlec na palec; teraz palce jej były tak wątłe, iż pierścień zsunął się bez trudu! Na jego miejsce król włożył pierścień, z którego Izolda niegdyś uczyniła mu podarek. Wreszcie podjął miecz, który rozdzielał kochanków, ten sam – poznał go – który wyszczerbił się na czasce Morhołta, położył swój na jego miejsce, wyszedł z altany, skoczył na siodło i rzekł leśniczemu:

– Umykaj teraz i ratuj życie, jeżeli zdołasz! Owo Izolda miała we śnie widzenie: była pod bogatym namiotem, pośród wielkiego lasu. Dwa lwy rzuciły się na nią i biły się o jej posiadanie... Wydała krzyk i zbudziła się;

rękawiczki okryte gronostajem padły na jej łono. Na jej krzyk Tristan zerwał się na nogi, chciał podjąć miecz i poznał po złotej rękojeści miecz króla. Zaś królowa ujrzała na palcu pierścień Marka. Wykrzyknęła:

– Panie, nieszczęście na nas! Król nas zeszedł!

– Tak – rzekł Tristan – zabrał mój miecz; był sam, uląkł się, poszedł szukać posiłków; wróci i każe nas spalić w oczach ludu. Uciekajmy!...

I wielkimi marszami, w towarzystwie Gorwenala, uszli ku ziemi walijskiej, aż do granic moreńskiego lasu. Ileż niedoli sprowadziło na nich miłowanie!

*Aspre vie meinent et dure:  
Tant s'entrament de bone amor  
L'uns por l'autre ne sent dolor.*<sup>9</sup>  
Bérroul

W trzy dni potem, kiedy Tristan długo szedł za śladem zranionego jelenia, zapadła noc... W mroku ciemnego lasu zaczął rozmyślać.

„Nie, to nie przez obawę król oszczędził nas. Wziął mój miecz, spałem, byłem na jego łasce, mógł ugodzić, na co tu posiłków? I gdyby mnie chciał ująć żywcem, po co rozbroiwszy zostawił mi własny oręż? Ha, poznałem cię, ojczy; nie przez obawę, ale przez czułość i litość chciałeś nam przebaczyć! Przebaczyć nam? Któż mógłby bez zhańbienia odpuścić taką zbrodnię? Nie, nie przebaczył, ale zrozumiał. Poznał, iż przy stosie, przy skoku z kaplicy, przy zasadzce na trędowatych Bóg wziął nas pod swoją pieczę. Przypomnił sobie wówczas dziecię, które niegdyś brzękało w lutnię u jego stóp, i moją ziemię łońską, opuszczoną dla niego, i oręż Morholtowy, i krew przelaną dla jego czci. Przypomnił sobie, że ja nie uznałem swej winy, ale na próżno domagałem się sądu, prawa i bitwy, i szlachetne jego serce skłoniło go ku zrozumieniu rzeczy, których dookoła niego ludzie nie rozumieją. Nie, iżby wiedział albo mógł kiedy wiedzieć prawdę o naszej miłości; ale wątpi, ma nadzieję, czuje, że nie skłamałem, pragnie, abym przez sąd dowiódł swego prawa. Ha, miły wuju, zwyciężyć w bitwie za pomocą Boga, zdobyć pokój z tobą i dla ciebie przywdziać jeszcze hełm i pancerz!... Cóż ja pomyślałem? Odebrałby mi Izoldę; ja bym mu ją wydał? Czemuż nie zabił mnie raczej, gdy spałem? Niegdyś ścigany przezeń, mogłem go nienawidzić i zapomnieć. Wydał Izoldę trędowatym; nie była już jego, była moją. Oto jak swoim współczuciem obudził mą tkliwość i odzyskał królowę. Królowę? Była królową przy nim, a w tym lesie żyje jak niewolnica. Com uczynił z jej młodością? Miast komnat wysłanych jedwabnym sukniem dałem jej ten bór dziki; szalas – miast nadobnych opon; i to dla mnie idzie tą żalostną drogą! Do Boga, Pana mego, króla świata, krzyczę o zmiłowanie i błagam, iżby mi zesłał siłę oddania Izoldy królowi Markowi. Nie jestże jego żoną zaślubioną wedle prawa Rzymu, wobec wszystkich możliwych władcyków jego ziemi?”

I Tristan opiera się na łuku i długo zawodzi w ciemnościach nocy. W otoczonych głogiem zaroślach, które służą im za legowisko, Izold Złotowłosa oczekiwała powrotu Tristana. Przy blasku księżycowego promienia ujrzała na palcu złoty pierścień, który Marek jej włożył. Pomyślała:

„Ten, kto przez wdzięczną uprzejmość dał mi złoty pierścień, to nie ów pogniewany człowiek, który mnie wydał trędowatym; nie, to współczujący pan, który od dnia wstąpienia mego na tę ziemię przygarnął mnie i chronił. Jak on umiłował Tristana! Ale ja przybyłam i cóżem uczyniła? Żali Tristan nie powinien by żyć w pałacu króla, otoczony setką młodzieńców, którzy chodziliby w jego orszaku i służyliby mu, aby się dobić rycerskiego pasa? Czy nie powinien by, jeżdżąc po baroniach i dworach, szukać służby i przygód? Tymczasem dla mnie przepomina całego rycerstwa, wygnany z dworu, ścigany w tym lesie, pędząc to dzikie życie!...”

Po liściach i suchych gałęziach usłyszała zbliżające się kroki Tristana. Wyszła na jego spotkanie jak zazwyczaj, aby wziąć odeń oręż. Wzięła z rąk Tristana łuk Niechybny i strzały, odwiązała rapcie miecza.

– Przyjaciółko moja – rzekł Tristan – to oręż króla Marka. Ten miecz winien był nas zabić, a oszczędził nas.

Izolda wzięła miecz, ucałowała złotą rękojeść. Tristan ujrzał, iż płacze.

– Miła – rzekł – ach, gdybym mógł uczynić . pokój z królem Markiem! Gdyby mnie dopuścił do zaświadczenia bitwą, iż nigdy, ani w czynie, ani w słowach, nie miłowałem cię występłą miłością; wszelki rycerz jego królestwa, od Lidanu aż do Durhanu, który ważyłby się sprzeciwić, znalazłby mnie uzbrojonego na udeptanej

---

<sup>9</sup> Surowe i twarde wiodą życie,  
Lecz kochają się tak zacną miłością,  
Że jedno za drugie nie czuje cierpienia.  
(Przeł. Z. Czerny)

ziemi. Później, gdyby król zechciał ścierpieć i zatrzymać mnie w orszaku, służyłbym mu z wielką czcią jako panu i ojcu; gdyby wołał mnie oddalić, a ciebie zachować, udałbym się do Fryzji lub Bretanii z Gorwenalem jako jedynym towarzyszem. Ale wszędzie, gdziekolwiek bym poszedł, królowo, zawsze pozostałbym twoim, Izoldo, nie myślałbym o rozłączeniu, gdyby nie sroga nędza, którą cierpisz dla mnie od dawna, piękna moja, w tej odludnej ziemi.

– Tristanie, wspomnij na Ogryna, pustelnika zamieszkałego w lesie. Wróćmy ku niemu i obyśmy mogli ubłagać łaski potężnego Króla Niebieskiego, Tristanie, miły kochanku!

Zbudzili Gorwenala; Izolda siadła na koniu, którego Tristan prowadził za cugle, i całą noc, przechodząc po raz ostatni ukochane lasy, wędrowali tak bez słowa.

Rankiem spoczęli trochę, później szli znowu, aż doszli do pustelni. Na progu kaplicy Ogryn czytał w książce. Ujrzał ich i z daleka przywołał czule.

– Przyjaciele! Jakże oto miłość was pędzi z niedoli w niedole! Jak długo będzie trwało wasze szaleństwo? Odwagi! Kajajcie się wreszcie!

Tristan rzekł:

– Posłuchaj, panie Ogrynie. Pomóż nam uzyskać jednanie z królem. Oddałbym mu królową. Później odszedłbym daleko, do Bretanii albo Fryzji. Kiedyś, gdyby król życzył ścierpieć mnie przy sobie, wróciłbym i służył mu, jakom powinien.

Pochylona u stóp pustelnika Izolda rzekła z kolei, bolesna:

– Nie wyżyję już tak dłużej. Nie powiadam, bym żałowała, iż kochałam i kocham Tristana jeszcze i na wieki, ale bodaj ciała nasze będą odtąd rozłączone.

Pustelnik zapłakał i uwielbił Boga:

– Boże, dobry Królu Wszystkomogący! Dzięki Ci składam, iż pozwoliłeś mi żyć dość długo, aby przyjść z pomocą tym dwojgu!

Udzielił im mądrych rad, po czym wziął inkaust i pergamin i wypisał pismo, w którym Tristan ofiarował jednanie królowi. Skoro pomieścił wszystkie słowa, które Tristan mu powiedział, ów przypieczętował je swoim pierścieniem.

– Kto zanieś pismo? – spytał pustelnik.

– Ja sam zaniosę.

– Nie, panie Tristanie, nie puszczaj się na to niebezpieczne poselstwo; pójdę za ciebie, znam dobrze mieszkańców zamku.

– Daj pokój, miły ojczu Ogrynie; królowa zostanie w pustelni; skoro noc zapadnie, pójdę z koniuszym, który będzie mi strzegł konia.

Skoro ciemności zapadły na las, Tristan puścił się w drogę z Gorwenalem. Przy bramach Tyntagielu opuścił go. Na murach strażnicy grali pobudkę. Wśliznął się w rów i przemknął przez miasto z niebezpieczeństwem życia. Okroczył, jak niegdyś, ostre palisady, ujrzał cembrowanie z marmuru, źródło i wielką sosnę i zbliżył się do okna, za którym król spał. Zawołał go łagodnie. Marek obudził się.

– Ktoś jest, kto mnie wołasz w nocy, o takiej godzinie?

– Panie, jestem Tristan; przynoszę pismo, zostawiam je tutaj, na kracie okna. Każ przywiązać odpowiedź do ramienia Czerwonego Krzyża.

– Na Boga, miły siostrzeńcze, czekaj!

Rzuca się na próg i po trzy razy woła w noc ciemną:

– Tristanie! Tristanie! Tristanie, synu mój!

Ale Tristan uciekł. Dopadł koniuszego i lekkim skokiem dostał się na siodło.

– Szalony – rzekł Gorwenal – śpiesz się, umykajmy tą drogą!

Dotarli wreszcie do pustelni, gdzie ich oczekiwał pustelnik pogrążony w modłach i Izolda płacząca.

## SZALONY BRÓD

*Oyez, vous tous que passez par la voie,  
Venez ça, chascun de vous voie  
S'il est douleur fors que la moie.  
C'est Tristan que la mort mestroie.*<sup>10</sup>  
Śmiertelna pieśń

Marek kazał obudzić kapelana i podał mu list. Kleryk złamał wosk i skłonił się najpierw królowi imieniem Tristana, po czym bystro odcyfrowawszy pisane słowa zdał mu sprawę z tego, co Tristan pisze. Marek wysłuchał nie mówiąc słowa i weselił się w sercu, miłował bowiem jeszcze królowę.

Zwołał imiennie co najmożniejsze baronństwo i kiedy się wszyscy zgromadzili, zamilkli, a król przemówił:

– Panowie, otrzymałem to pismo odręczne. Jestem królem nad wami i wyście moi wierni lennicy. Wysłuchajcie, co pisze, a potem radźcie, proszę was o to, skoro winni mi jesteście radę.

Kapelan wstał, rozwinął pergamin obiema rękami i stojąc przed królem rzekł:

– Panowie, Tristan przekazuje najpierw pozdrowienie i miłość królowi i całej baronii. „Królu – dodaje – kiedy zabiłem smoka i zdobyłem córkę króla Irlandii, mnie to ją dano; byłem mocen zatrzymać ją, ale nie chciałem; powiodłem Izoldę w twoje strony i oddałem tobie. Mimo to ledwie pojąłeś ją za żonę, zausznicy zyskali u ciebie wiarę w swoje łgarstwa. W gniewie swoim, miły wuju, panie mój, chciałeś nas oboje spalić bez sądu, ale Bóg powziął współczucie; błagaliśmy Go, ocalił królową i był w tym sprawiedliwy. Ja także, skacząc z wyniosłej skały, wyszedłem cało dzięki mocy boskiej. Cóż uczyniłem od tego czasu, co można by zganić? Królową wydano trędowatym, przyszedłem jej z pomocą, uprowadziłem ją; żali mogłem chybić w potrzebie tej, która omal nie umarła niewinnie z mej przyczyny? Uciekałem z nią przez lasy: zaliż, aby ci ją oddać, mogłem wyniść z lasu i zstąpić w równinę? Nie nakazałeś, aby nas ujęto żywych lub umarłych? Ale dziś, jak wówczas, gotów jestem, miły królu, dać zakład i przeciw każdemu, kto zechce, podtrzymać bitwę, iż nigdy królowa nie żywiła dla mnie ani ja dla królowej miłości, która by ci była obrazą. Nakaz walkę; nie odtrącam żadnego przeciwnika i jeśli nie zdołam dowieść swego prawa, każ mnie spalić w oczach ludzi. Ale skoro odniosę tryumf i jeśli ci się podoba wziąć z powrotem Izoldę o jasnej twarzy, żaden z baronów nie będzie ci służył lepiej ode mnie; jeżeli natomiast nie dbasz o me służby, przebędę morze, pójdę ofiarować się królowi Gawii albo królowi Fryzji i nie usłyszysz nigdy mego imienia. Królu, rozważ to, a jeśli nie zgadzasz się na żadne jednanie, odprowadzę Izoldę do Irlandii, skąd ją wziąłem, i będzie królową w swoim kraju.”

Kiedy baronowie Kornwalii usłyszeli, że Tristan wydaje im bitwę, rzekli wszyscy do króla:

– Królu, weź królową z powrotem, to szaleńcy oczernili ją przed tobą. Co do Tristana, niechaj idzie, jak się ofiaruje, wojować w Gawii lub przy boku króla Fryzów. Nakaz, aby ci przywiódł Izoldę w oznaczonym dniu i rychło.

Król zapytał po trzykroć:

– Żali nikt nie podnosi się, aby obwiniać Tristana? Wszyscy milczeli. Wówczas rzekł kapelanowi:

– Wygotuj zatem pismo jak najspieszniej; słyszałeś, co trzeba w nim pomieścić, a krzują się żywo; Izolda zbyt wiele wycierpiała w swoich młodych latach! I niechaj pergamin powiesz na ramieniu Czerwonego Krzyża dziś przed wieczorem; śpiesz się!

Dodał:

– Powiedz jeszcze, że przesyłam obojgu pozdrowienie i miłość.

Około północy Tristan przebył Białą Równinę, znalazł pismo i przyniósł je zapieczętowane do pustelnika Ogryna. Pustelnik wyłożył mu litery. Marek godził się za radą baronów przyjąć z powrotem Izoldę, ale nie życzył zatrzymać Tristana jako lennika; skoro od dziś za trzy dni, przy Szalonym Brodzie, odda królowę w ręce króla Marka, należy mu wędrować za morze.

– Boże – rzekł Tristan – jakaż żaloba stradać ciebie, miła przyjaciółko! Trzeba wszelako, skoro ci mogę oszczędzić cierpienia, które znosiłaś z mojej przyczyny. Kiedy przyjdzie na nas chwila rozłączenia, dam ci upominek, zakład mej miłości. Z nieznanego kraju, dokąd się udaję, pošlę ci posłańca; powie mi twoje pragnienie i na pierwsze wezwanie z ziemi dalekiej przybiegnę.

<sup>10</sup> Słuchajcie wszyscy, co tędy przechodziecie,  
Sam tu, niech każdy z was baczy,  
Czy jest ból większy niż mój!  
Oto Tristan, nad którym śmierć włada.  
(Przeł. Z. Czerny)

Izold westchnęła i rzekła:

– Tristanie, zostaw mi Łapaja, swego psa. Nigdy najcenniejszy ogar nie będzie zażywał większej czci i pieczy. Ilekroć go ujrzę, przypomnę sobie ciebie i będę mniej smutna. Przyjacielu mój, mam pierścień z zielonego jaspisu, weź go przez miłość dla mnie, noś na palcu; jeśli kiedykolwiek poseł będzie twierdził, iż przybywa od ciebie, co bądź by czynił lub mówił, nie uwierzę mu póty, póki nie pokaże tego pierścienia. Ale skoro go zobaczę, żadna powaga, żaden zakaz króla nie przeszkodzą mi uczynić tego, co zlecisz, bądźli to rozsądek czy szaleństwo.

– Miła moja, daję ci psa.

– Miły mój, weź ten pierścionek w odpłatę.

I oboje ucałowali się w usta.

Owóz zostawiwszy kochanków w pustelni Ogryn powędrował o kuli aż do Mont; nakupił tam siwego futra, sukna lśniącego, gronostaju, płócien jedwabnych, purpury, szkarłatu i muślinu bielszego niż kwiat lilii, i dzianeta przybranego w rząd pozłocisty, idącego łagodnym truchtem. Ludzie śmiali się widząc go, jak na te osobliwe i wspaniałe zakupy trwoni długo ciułane grosze. Ale starowina władował na rumaka kosztowne materie i wrócił do Izoldy.

– Królowo, odzienie twoje opada w strzępach; przyjm te podarki, iżbyś była piękniejszą w dniu, w którym udasz się do Szalonego Brodu. Lękam się, iż nie zdadzą ci się piękne; nie jestem biegły w dobieraniu takowych strojów.

Tymczasem król kazał okrzyknąć w Kornwalii nowinę, iż za trzy dni przy Szalonym Brodzie uczyni jednanie z królową. Damy i rycerze udali się tłumnie na to zgromadzenie; wszyscy pragnęli ujrzyć królowę Izoldę, wszyscy kochali ją z wyjątkiem trzech zdrajców będących jeszcze przy życiu.

Ale z tych trzech jeden umrze od miecza, drugi zginie przeszyty strzałą, trzeci utopiony; zaśię, co się tyczy leśnego, Perynis, szczery, jasnowłosy druh, zatłucze go kijami w lesie. Tak Bóg, który nienawidzi wszelkiego przebrania miary, pomści kochanków na ich nieprzyjaciołach!

W dniu naznaczonym na zgromadzeniu u Szalonego Brodu łąka lśniła się daleko, cała zasłana i ozdobiona pięknymi, bogatymi namiotami baronów. W lesie Tristan jechał wraz z Izoldą i w obawie zasadzki przywdział pancerz pod łachmany. Tak oboje ukazali się na skraju lasu i ujrzeli króla Marka pośród baronów.

– Przyjaciółko – rzekł Tristan – oto król, twój pan, rycerze jego i lennicy idą ku nam; za chwilę nie będziemy mogli już mówić do siebie. Na potężnego i wspaniałego Boga, zaklinam cię: jeśli kiedy wyśle poselstwo do ciebie, uczyni, coć przykażę!

– Miły Tristanie, z chwilą gdy ujrzę pierścień z zielonego jaspisu, ani wieża, ani mur, ani warowny zamek nie przeszkodzą mi spełnić woli przyjaciela.

– Izoldo, niech ci Bóg odpłaci!

Konie ich szły stępą, bok przy boku; przyciągnął ją do siebie i uściśnął.

– Przyjacielu – rzekła Izolda – usłysz ostatnią prośbę: opuścisz ten kraj, owo zaczekaj przynajmniej kilka dni; ukryj się, póki nie doświadczę, jak się obchodzi ze mną król w swym gniewie lub dobroci!... Jestem sama: kto mnie obroni od podstępnych zdrajców? Boję się! Leśnik Orri przyjmie cię potajemnie; wśliznij się w nocy do rozwalonego lamusa, posłę tam Perynisa, aby ci powiedział, czy nikt nie znęca się nade mną.

– Miła, nikt się nie odważy. Zostanę ukryty u leśnika; kto bądź wyrządzi ci obrazę, niech się strzeże mnie jak Złego!

Dwie gromady znalazły się dość blisko, aby wymienić pokłony. Na strzelenie z łuku przed swoimi król jechał śmiało; wraz z nim Dynas z Lidanu.

Skoro baronowie podjechali bliżej, Tristan trzymając za cugle dzianeta Izoldy skłonił się królowi i rzekł:

– Królu, oddaję ci Izoldę Jasnowłosą. Wobec ludzi tej ziemi upraszam, byś mi dozwolił bronić się przed całym dworem. Skazano mnie bez sądu. Uczyni, bym mógł usprawiedliwić się bitwą; skoro ulegnę, spal mnie w ogniu z siarki; jeśli zwyciężę, zatrzymaj przy sobie; albo jeśli nie zechcesz zatrzymać, odejdę w daleki kraj.

Nikt nie przyjął Tristanowego wyzwania. Wówczas Marek ujął dzianeta Izoldy za cugle i powierzywszy ją Dynasowi usunął się na stronę, aby zasięgnąć rady.

Dynas, pełen wesela, świadczył królowej samą cześć i mnogie dworności. Zdjął jej płaszcz z pysznego szkarłatu i ciało ukazało się wdzięczne pod cienką tuniką i wielką jedwabną opończą. Aż królowa uśmiechnęła się na wspomnienie starego pustelnika, który nie pożałował groszy. Suknia jej bogata, członeczki wdzięczne, oczy świetliste, włosy jasne jak promienie słońca.

Skoro zausznicy ujrzeli ją piękną i czczoną jak niegdyś, podjechali zgniewani do króla. W tej chwili baron pewien, Andrzej z Nikolu, siłił się go przekonać.

– Panie – powiadał – zatrzymaj Tristana przy sobie; będziesz dzięki niemu zażywał większej czci u nieprzyjaciół.

I tak pomału miękcył serce Marka. Ale zausznicy przybyli zawczasu i rzekli:

– Królu, posłuchaj rady, którą dajemy ci z wiernego serca. Spotwarzono królowę; niesłusznie, przyznajemy; ale jeżeli Tristan i ona wrócą oboje wraz na dwór, znowu rozpoczną się ludzkie gadania. Pozwól raczej Tristanowi oddalić się na jakiś czas; później, kiedyś, z pewnością powołasz go znowu. Tak uczynił Marek: polecił przez



baronów Tristanowi, aby oddalił się bez zwłoki. Wówczas Tristan podszedł do królowej i pożegnał ją. Popatrzyli na siebie. Królowa zawstydzona z przyczyny zgromadzenia i spłonęła rumieńcem.

Ale król wzruszył się litością i, przemawiając do siostrzeńca po raz pierwszy, rzekł:

– Gdzież pójdziesz w tych oto łachmanach? Weź w moim skarbie, ile zechcesz, złota, srebra, sukna i futer.

– Królu – rzekł Tristan – nie wezmę ani denara, ani jednego oczka koszuli żelaznej. Jak stoję, pójdę służyć z wielkim weselem bogatemu królowi Fryzji.

Zatoczył koniem i odjechał ku morzu. Izolda biegła za nim spojrzeniem i tak długo, jak tylko mogła go ujrzeć w oddali, nie odwróciła się.

Na wieść o jednaniu wielcy i mali, mężczyźni, niewiasty i dzieci wylegli cizbą za miasto na spotkanie Izoldy i świadcząc wielką żalobę z powodu Tristana, witali radośnie odzyskaną królową. Wśród bicia dzwonów, przez ulice nadobnie wysłane, ozdobione

flagami z jedwabiu, król, hrabiowie i książęta tworzyli orszak; bramy pałacu otwarte były dla każdego; bogaci i biedni mogli usiąść i jeść. I aby uczcić ten dzień, król Marek wyzwolił stu niewolnych oraz dał miecz i pancerz dwudziestu giermkom, których opasał własną ręką.

Wszelako, skoro noc zapadła, Tristan, jak przyrzekł królowej, wśliznął się do leśnika Orri, który ukrył go tajemnie w rozwalonym lamusie. Niech zdrajcy mają się na baczności!

## SĄD PRZEZ ROZPALONE ŻELAZO

*Dieus i a fait vertuz.*<sup>11</sup>

Béroul

Niebawem Denoalen, Andret i Gondoin uczyli się w bezpieczeństwie; bez ochyby Tristan wlecze żywot hen, za morzem, w krainie zbyt dalekiej, aby ich dosięgnąć. Za czym jednego dnia, w czas łowów, gdy król słuchając szczekania sfory zatrzymał konia pośród karczowiska, wszyscy trzej podjechali ku niemu:

– Królu, posłuchaj naszego słowa. Skazałeś wprzód królowę bez sądu i to się nie godziło; dziś rozgrzeszasz ją bez sądu: czyż to się godzi również? Nie oczyściła się dotąd z zarzutu i baronowie twego kraju przyganiają to wam obojgu. Poradź jej raczej, aby sama zażądała sądu Boga. Skoro jest niewinną, cóż ją kosztuje poprząsiąc na kości świętych, że nigdy nie zgrzeszyła? Co szkodzi, niewinnej, chwycić żelazo rozżarzone w ogniu? Tak chce obyczaj i przez tę łatwą próbę rozproszą się na zawsze dawne podejrzenia. Marek zgniewany odparł:

– Niech Bóg was pognębi, panowie Kornwalii, którzy bez wytchnienia szukacie mej hańby! Dla was wyгнаłem siostrzeńca: czegoż żądacie jeszcze? Aby wypędził królową Izoldę? Jakież są wasze nowe zarzuty? Przeciw dawnym zarzutom żali Tristan nie podjął się jej bronić? Aby ją oczyścić, ofiarował wam bitwę; słyszeliście go wszyscy. Czemuż nie chwyciliście tarcz i włóczni? Panowie, przypieracie mnie ponad prawo; lękajcie się tedy, abym człowieka wygnanego dla was nie przyzwał z powrotem!

Wówczas tchórze zadrżeli; już im się zdało, iż widzą Tristana, jak wypuszcza z ich ciał krew do ostatniej kropli.

– Królu, daliśmy ci sprawiedliwą radę ku twojej czci, jak przystało wiernym lennikom; ale odtąd będziemy milczeć. Zapomnij gniewu, wróć nam pokój!

Ale Marek podniósł się w strzemionach.

– Precz z mojej ziemi, zdrajcy! Nie będziecie już mieli ze mną pokoju! Dla was wyгнаłem Tristana; na was dziś kolej. Precz z mojej ziemi!

– Dobrze więc, miły królu! Zamki nasze warowne, dobrze murowane z ciosu na skałach, na które niełatwo komu się wedrzeć!

I nie pozdrowiwszy go odjechali.

Nie czekając łowczych ni ogarów Marek pchnął konia ku Tyntagielowi, wszedł po stopniach do sali i królowa usłyszała szybkie jego kroki rozbrzmiewające po posadzce z kamienia.

Wstała, wyszła na spotkanie, odebrała miecz, jako miała zwyczaj, i pochyliła mu się aż do stóp. Marek przytrzymał ją za ręce i podnosił, kiedy Izolda, uwyższywszy ku niemu spojrzenie, ujrzała szlachetne rysy dręczone gniewem: takim ukazał się jej niegdyś, oszalały, w obliczu stosu.

„Ha – pomyślała – przyjaciela mego odkryto, król go pochwycił.”

Serce ostygło jej w piersiach, bez słowa zwała się do stóp króla. Wziął ją w ramiona i pocałował łagodnie; pomału odzyskała życie.

– Miła przyjaciółko moja, co ciebie dręczy?

– Królu, boję się; ujrzałam cię w takim gniewie!

– Tak, wróciłem zgniewany z łowów.

– Och, panie, jeśli kto z łowców pogniewał cię, żali się godzi tak brać do serca poswarki myśliwskie?

Marek uśmiechnął się na te słowa.

– Nie, miła, nie łowcy mnie zgniewali, ale trzej zdrajcy, którzy od dawna nas nienawidzą. Znasz ich:

Andret, Denoalen i Gondoin; wyгнаłem ich z mej ziemi.

– Panie, cóż złego odważyli się rzec o mnie?

– Cóż ci o to? Wyгнаłem ich.

– Panie, każdy ma prawo rzec, co myśli. Ale ja równie mam prawo znać oskarżenie miotane przeciw mnie. I od kogóż się dowiem, jeśli nie od ciebie? Sama w tym cudzoziemskim kraju, nie mam nikogo prócz ciebie, panie, kto by mnie bronił.

– Niech ci więc będzie. Utrzymywali tedy, że godzi ci się oczyścić przysięgą i próbą żarzącego żelaza. „Królowa – powiadali – żali nie powinna sama żądać sądu? Takie próby letkie są temu, kto się czuje niewinny. Cóż by ją to kosztowało?... Bóg jest wierny sędzia; rozprószyłyby na zawsze dawne oskarżenia...” Oto co gadali. Ale zostawmy to wszystko! Wyгнаłem ich, powiadam.

Izolda zadrżała, spojrzała na króla.

– Panie, każ, niech wrócą na dwór. Oczyszczę się przysięgą.

<sup>11</sup> Bóg oto cud uczynił.  
(Przeł. Z. Czerny)

– Kiedy?  
– Dziesiątego dnia.  
– To bardzo bliski termin, miła.  
– Aż nadto daleki dla mnie. Ale żądam, abys tymczasem wezwał króla Artura, iżby przyjechał z wielbnym Gowenem, z Żyrfietem, marszałkiem Ke i stoma ze swego rycerstwa, aż do granic tej ziemi, do Białej Równi, na brzeg rzeki, która dzieli wasze królestwa. Tam wobec nich chcę złożyć przysięgę, a nie jedynie przed twymi baronami: ledwo bym bowiem przysięgła, baronowie żądaliby jeszcze nałożyć nową próbę i nigdy nie skończyłyby się nasze męczarnie. Ale jeśli Artur i jego rycerze staną za rękojmię sądu, nie ośmielą się.

Podczas gdy heroldzi wojenni pomykali ku Karduel jako posłowie króla Marka do króla Artura, Izolda posłała tajemnie do Tristana giermka swego, płowowłosego Perynisa, wiernego służkę. Perynis pobiegł przez las unikając zdeptanych ścieżek, aż dotarł do chatynki leśnika Orri, gdzie od wielu dni Tristan nań czekał. Perynis oznajmił, co zaszło: nowy podstęp zdrajców, termin sądu, godzina i dzień naznaczony.

– Rycerzu, pani moja zaleca, abys w oznaczonym dniu, pod szatą pielgrzyma, tak zręcznie przebrany, aby cie nikt nie mógł poznać, bez broni, znalazł się na Białej Równi. Aby się dostać na miejsce sądu, trzeba jej przebyć rzekę w łodzi; na przeciwnym brzegu, tam gdzie będą rycerze króla Artura, zaczekasz na nią. Bez wątpienia wówczas będziesz mógł przyjść jej z pomocą. Pani moja lęka się dnia sądu, pokłada wszelako ufność w przychylności Boga, który już zdołał ją wyrwać z rąk trędowatych.

– Wracaj do królowej, miły, dobry druhu Perynisie; powiedz, iż spełnię jej wolę.

Owóz, panowie mili, kiedy Perynis wracał do Tyntagielu, zdarzyło się, iż spostrzegł w zaroślach tegoż samego leśnika, który niegdyś zdybawszy uspionych kochanków zdradził ich królowi. Jednego dnia, będąc pijany, pochełpił się swą zradą. Ten człowiek, wykopawszy w ziemi głęboką jamę, okrył ją zręcznie gałęzmi, aby łowić wilki i dziki. Ujrzał sługę królowej skaczącego ku niemu i chciał uciekać. Ale Perynis przypchnął go na brzeg pułapki.

– Szpiegu, któryś sprzedał królowę, czemu uciekasz? Zostań tu wpodłe grobu, któryś sam wykopał tak skrzętnie! Kij ze świstem zakręcił się w powietrzu. Kij i czaszka strzaskały się razem i Perynis płowowłosy, wierny sługa, pechnął nogą ciało do jamy okrytej gałęzmi.

W dniu naznaczonym na sąd król Marek, Izolda i baronowie Kornwalii, podjechawszy aż ku Białej Równi, przybyli w pięknym porządku nad rzekę. Ustawieni na drugim brzegu rycerze Artura pozdrowili ich lśniącymi sztandarami.

Przed nimi, siedząc na urwistym brzegu, nędzny pielgrzym zawinięty w burkę, z której zwisały muszle, wyciągnął drewnianą miskę i ostrym, a żałośliwym głosem domagał się jałmużny.

Robiąc tego wiosłami barki kornwalijskie zbliżały się do brzegu. Skoro już miały lądować, Izolda spytała otaczających ją rycerzy:

– Panowie, jakoż będą mogła osiągnąć twardej ziemi bez zmaczania długich szat w tym bagnie? Trzeba by, aby który przewoźnik mi pomógł.

Jeden z rycerzy krzyknął na pielgrzyma:

– Przyjacielu, podkasz opończę, wejdz do wody i przenieś królowę, jeśli wszelako nie lękasz się, człeku przygięty i schorowany, ugiąć w pół drogi pod ciężarem.

Człowiek wziął królowę w ramiona. Rzekła mu po cichu:

– Przyjacielu! – Później ciszej jeszcze: – Potknij się i padnij na brzegu!

Przybywszy na brzeg zachwiał się i upadł trzymając królowę w ramionach. Giermkowie i żeglarze chwytając wiosła i barki przegnali precz nieboraka.

– Zostawcie – rzekła królowa – z pewnością długa pielgrzymka osłabiła go.

I odczepiając zapinkę ze szczerego złota rzuciła ją pielgrzymowi.

Przed namiotem Artura rozciągnięto na zielonej trawie bogaty kobierzec z nicejskiego jedwabiu. Relikwie świętych, dobyte z puzder i szkatułów, były już narządzone. Wielbny Gowen, Żyrfiet i marszałek Ke strzegli ich. Królowa pomodliwszy się do Boga zdjęła klejnoty z szyi i rąk i dała je biednym żebrakom; odczepiła purpurowy płaszcz i cienką, lśniąca namitkę i rozdała je; oddała łańcuch i broszę, i trzewiki wykładane kamieniami.

Zachowała na ciebie jeno jasną suknię bez rękawów i z obnażonymi ramionami i stopami kroczyła przed obu królów. Dokoła baronowie patrzyli na nią w milczeniu i płakali. Koło relikwii płonął stos. Drżąca wyciągnęła rękę ku relikwiom świętych i rzekła:

– Królu Logrii i królu Kornwalii, wielbny Gowenie, wielbny Ke i wielbny Żyrfiecie, i wy wszyscy, którzy będziecie mymi ręcycielami, na te ciała świętych i na wszystkie ciała świętych będące we świetle przysięgam, że nigdy mąż zrodzony z niewiasty nie trzymał mnie w ramionach prócz króla Marka, mego pana, i tego ubożego pielgrzyma, który przed chwilą upadł oto w waszych oczach. Królu Marku, żali ta przysięga ci wystarcza?

– Tak, królowo, i niechaj Bóg objawi swój prawdziwy sąd!

– Amen! – rzekła Izolda.

Zbliża się do stosu błada i drżąca. Wszyscy milczeli, żelazo żarzyło się. Wówczas zanurzyła gołe ramiona w ognisku, chwyciła sztabę żelaza, przeszła dziesięć kroków niosąc ją, następnie odrzuciwszy rozciągnęła ramiona w kształt krzyża, z otwartymi dłońmi. I każdy widział, iż ciało jej było zdrowsze niż śliwka świeżo urwana ze śliwy.

Wówczas ze wszystkich piersi wielki krzyk uwielbienia podniósł się ku Bogu.

*Tristran defors e chante e gient  
Cum russtnol que prent conge  
En fin d'este od grand pitie.<sup>12</sup>  
Le Domnei des Amanz*

Kiedy Tristan wróciwszy do chaty leśnika Orri odrzucił kostur i zdjął z siebie opończę pielgrzyma, poznał jasno w sercu, iż nadszedł dzień, aby dotrzymać wiary zaprzysiężonej królowi Markowi i oddalić się z kraju Kornwalii.

Czemu ociągał się jeszcze? Królowa usprawiedliwiła się, król miłował ją, czcił. Artur w potrzebie ująłby się za nią i od tej pory żadna zdradziecka sztuka nie mogła nic przeciw niej. Po co dłużej krążyć w okolicy Tyntagielu? Narazał próżno życie i życie leśnika, i spokój Izoldy. Tak, trzeba jechać; ostatni to raz pod suknią pielgrzyma, na Białej Równi, uczył ciało Izoldy w swych ramionach.

Trzy dni jeszcze zwlekał nie mogąc się oderwać od kraju, w którym żyła królowa. Ale kiedy przyszedł czwarty dzień, pożegnał się z leśnikiem, który mu dał gospodę, i rzekł do Gorwenala:

– Miły nauczycielu, otoć godzina długiej podróży; pójdziemy ku ziemi walijskiej.

Puścili się w drogę smutno, w nocy. Ale droga szła wzdłuż sadu ogrodzonego palami, gdzie niegdyś Tristan oczekiwał miłej przyjaciółki. Noc lśniła się czysto. Na zakręcie drogi, niedaleko palisady, ujrzał, jak wznosi się na jasnym niebie krzepki pień wielkiej sosny.

– Miły nauczycielu, czekaj w pobliskim lesie, wrócę niebawem.

– Gdzie idziesz? Szalony, czy chcesz bez litości szukać własnej zguby?

Ale już śmiałym skokiem Tristan przesadził ostrokół z palów. Przyszedł pod wielką sosnę, koło schodów z jasnego marmuru. Na co zdałoby się rzucać do źródła misternie strugane wióry? Izolda nie przyszlaby już! Gibkim i ostrożnym krokiem, ścieżką, którą niegdyś biegała królowa, ośmielił się zbliżyć do zamku.

W komnacie swojej, w ramionach uśpionego Marka Izolda czuwała. Nagle przez uchylone okno, w którym igrały promienie księżycy, wniknął do izby głos słowika.

Izolda słuchała dźwięcznego głosu napełniającego czarem noc. Głos podnosił się żalony i taki, iż nie masz serca dość okrutnego, nie masz serca mordercy, które by się nie rozczuliło. Królowa pomyślała: „Skąd pochodzi to śpiewanie?...” Nagle pojęła:

„Ach, to Tristan! Tak, w lesie moreńskim dla mojej uciechy udawał ptaki śpiewające. Jedzie i oto jego ostatnie pożegnanie. Jak on się skarży! Rzekłbyś, słowik, kiedy żegna się z wielką żalnością z końcem lata! Przyjacielu, nigdy już nie usłyszę twego głosu!”

Melodia zaczęła drgać jeszcze potężniej.

„Ach, czego żądasz? Aby przyszła? Nie, przypomnij sobie pustelnika Ogryna i przysiężone śluby. Zamilcz, śmierć czyha na nas... I cóż mi śmierć? Wołasz mnie, żądasz mnie, idę!”

Wyplątała się z objęć króla, narzuciła płaszcz podbity futrem na ciało niemal nagie. Trzeba było przejść przez sąsiednią komnatę, gdzie każdej nocy dziesięciu rycerzy czuwało kolejno; podczas gdy pięciu spało, pięciu innych, pod bronią stojąc u drzwi i okien, wyglądało zewnątrz. Ale przypadkowo wszyscy byli uśpieni, pięciu na łóżkach, pięciu na podłodze. Izolda okroczyła rozsypane ciała, odsunęła wrzeciądze: pierścień zadzwonił, ale nie zbudził żadnego ze śpiących. Przekroczyła próg i śpiewak umilkł.

Pod drzewami, bez słowa, przygarnął ją do piersi; ramiona ich zaplotły się mocno dokoła ciała i aż do świtu, jak gdyby związani pętami, nie popuścili się z objęć. Mimo króla i mimo stróżów kochankowie wiedli swe wesele i swoje miłowanie.

Ta noc oszaleńczała kochanków: i w dnie, które nastąpiły, gdy król opuścił Tyntagiel, aby sprawować roki w Łubinie, Tristan wróciwszy do leśnika Orri ważył się każdego ranka, w jasny dzień, wkraść przez sad aż do komnaty niewiast.

Sługa któryś zdybał go i poszedł do Andreta, Denoalena i Gondoina.

– Panowie, zwiierz, o którym mniemaliście, że jest przepłoszony, wrócił do legowiska.

– Kto?

– Tristan.

<sup>12</sup> Tristan w wirydarzu śpiewa, lamentuje,  
Jak słowik, gdy się żegna  
Z końcem lata, z wielkim żalem.  
(Przeł. Z. Czerny)

– Kiedyś go widział?

– Dziś rano i dobrze poznałem. I tak samo jutro o brzasku możecie oglądać go z przypasanym mieczem, z łukiem w jednej ręce, a dwojgiem strzał w drugiej.

– Jak go ujrzymy?

– Przez pewne okno, mnie wiadome. Ale jeśli go wam wskażę, co dacie?

– Funt srebra; będziesz chłop bogaty.

– Zatem słuchajcie – rzekł sługa. – Można zajrzeć do pokoju królowej przez wąskie okno, które wznosi się w górze komnaty, wybite bardzo wysoko w murze. Ale wielka zasłona, rozciągnięta przez izbę, zasłania otwór. Niechaj jutro jeden z was wejdzie śmiało do sadu; niech utnie długą gałąź głogu i zaostri ją na końcu; niech wespnie się wówczas na wysokie okno i wbije gałąź jak rozeń w materię. Będzie ją mógł wtedy uchylić lekko i możecie upiec mnie żywcem, panowie, jeśli poza zasłoną nie ujrzycie tego, com powiedział. Andret, Gondoin i Denoalen prawowali się, który pierwszy zażyje tego radosnego widowiska; zgodzili się wreszcie przyzwolić najpierw Gondoinowi. Rozstali się; jutro o świcie mają się zejść razem; jutro o świcie, mili panowie, strzeżcie się Tristana.

Nazajutrz, wśród nocy jeszcze ciemnej, Tristan opuściwszy chatę leśnika Orri przyczołgał się do zamku popod gęste krzewy głogów. Kiedy wychodził z zarośli, spojrzął przez gałęzie i ujrzał Gondoina, który nadchodził ze swej kwatery. Tristan rzucił się z powrotem w głogi i przycupnął w zasadzce.

„Ha, Boże, spraw, alby ten tam, który się przysuwa, nie spostrzegł mnie przed sposobną chwilą!”

Z mieczem w garści czekał go; ale przypadkiem Gondoin obrał inną drogę i oddalił się. Tristan wyszedł z zarośli zawiedziony; napiął łuk, wycelował: niestety, tamten był już poza odległością strzału!

W tej chwili, jadąc powoli ścieżką truchtem na małym karym koniku, przybywa z dalsza Denoalen wiodąc ze sobą dwa wielkie charty. Tristan czatował nań ukryty za jabłonią. Ujrzał go, jak szczał psy, aby wytropiły dziką z chaszczów. Ale nim psy wytropią zwierza z bajora, pan ich otrzyma taką ranę, że żaden lekarz nie zdoła go wyleczyć. Kiedy Denoalen znalazł się przy nim, Tristan odrzucił opończę, skoczył, wyprężył się naprzeciw wroga. Zdrayca chciał uciekać; na próżno, nie miał czasu ani krzyknąć: „Ranisz mnie!” Spadł z konia. Tristan urzezał mu głowę, obciął warkocze, które wisiały dokoła twarzy, i schował do pludrów; chciał je pokazać Izoldzie, aby ucieszyć serce przyjaciółki. „Niestety – myślał – cóż stało się z Gondoinem? Wymknął się. Czemuż nie mogłem mu wygodzić tą samą zapłatą!”

Wytań miecz, schował do pochew, przykrył trupa pniem drzewa i zostawiwszy krwawiące ciało pośpieszył z kapturem na głowie ku miłej.

Gondoin wyprzedził go do tyntagielskiego zamku; już wdrapawszy się na wysokie okno wbił pręcik głogu w zasłonę, rozsunął lekko połacie materii i patrzył do wnętrza pięknie wysłanej komnaty. Zrazu ujrzał jedynie Perynisa, później Brangien trzymającą jeszcze grzebień, którym właśnie skończyła czesać królowę o złotym warkoczu.

Ale Izolda weszła, potem Tristan. Miał w jednej ręce topolowy łuk i dwie strzały, w drugiej trzymał dwa długie warkocze z głowy człowieka.

Zrzucił płaszcz i piękne jego ciało ukazało się. Izolda Jasnowłosa skłoniła się, aby go pozdrowić; gdy się prostowała podnosząc głowę ku niemu, ujrzała padający na kotarę cień głowy Gondoina. Tristan rzekł:

– Widzisz te piękne warkocze? To włosy Denoalena. Pomściłem cię na nim. Nigdy już nie kupi ani sprzeda tarczy ani włóczni!

– Dobrze to, panie; ale napnijcie ten łuk, proszę was; chciałabym zobaczyć, czy łatwo się napina.

Tristan zdumiony, na pół rozumiejąc, napiął łuk. Izolda wzięła jedną z dwu strzał, założyła na cięciwę, spojrzała, czy struna dobra, i rzekła szybkim i cichym głosem:

– Widzę rzecz, która mnie rani. Mierz dobrze, Tristanie!

Rozkraczył się w nogach, podniósł oczy i ujrzał na szczycie zasłony cień głowy Gondoina.

– Niechaj Bóg – rzekł – prowadzi tę strzałę. Rzekł, odwraca się ku ścianie, puszcza. Długa strzała świszcząc w powietrzu; ani kobuz, ani jaskółka nie pędzi tak chyżo; przebija oko zdraycy, przeszywa mózg niby miąższ jabłka i zatrzymuje się, drgająca, o czaszkę. Bez krzyku Gondoin .zwałił się i spadł na ostry pal.

Wówczas Izolda rzekła do Tristana:

– Uchodź teraz, przyjacielu mój! Widzisz, zdraycy znają twe schronienie! Andret został przy życiu, opowie królowi; nie masz już bezpieczeństwa dla ciebie w chatynce leśnika! Uchodź, przyjacielu; Perynis, sługa wierny, ukryje ciało w lesie tak dobrze, iż król o nim nie posłyszysz. Ale ty uchodź z kraju dla twego zbawienia, dla mego! Tristan rzekł:

– Jakoż będę mógł żyć?

– Tak, miły Tristanie, życia nasze są splecione i spojone z sobą. A ja, jakoż będę mogła żyć? Ciało ostaje tu, ty masz moje serce.

– Izoldo, przyjaciółko moja, jadę, nie wiem do jakiego kraju. Ale jeśli kiedykolwiek ujrzysz pierścień z zielonego jaspisu, zali uczynisz, o co poproszę przez niego?

– Tak, wiesz o tym; jeśli ujrzę pierścień z zielonego jaspisu, ani wieża, ani zamek warowny, ani zakaz króla nie przeszkodzą mi spełnić woli przyjaciela, będzieli to rozsądek czy szaleństwo!

– Miła, niechaj Bóg urodzony w Betlejem ci odpłaci!

– Miły, niech Bóg cię strzeże!

## DZWONEK CUDOWNY

*Ne membre vus, ma bele amie,  
D'une petite druerie?*<sup>13</sup>  
Szaleństwo Tristana

Tristan schronił się do Galii, na ziemię szlachetnego diuka Żylenia. Diuk był młody, potężny, poczciwy; przyjął go jako miłego gościa. Aby mu wyświadczyć cześć i radość, nie oszczędzał żadnego trudu; ale ani przygody, ani uczt nie mogły ukoić męczeństwa Tristana. Jednego dnia, gdy siedział przy boku młodego księcia, serce jego wezbrało taką boleścią, iż wzdychał ani sam wiedząc o tym. Aby uśmierzyć jego mękę, książę nakazał przynieść do poufnej komnaty swą ulubioną zabawę, która jakowymiś czarami, w godzinach smutku, zachwycała jego oczy i serce. Na stole, przykrytym bogatą i szlachetną purpurą, umieszczono pieska Milusia. Był to pies zaczarowany, miał go książę z Wyspy Awalońskiej; przysłała mu go wróżka jako podarek miłości. Nikt nie potrafiłby znaleźć dość zmyslnych słów, aby opisać jego naturę i piękność. Sierść lśniła się cieniami tak cudownie rozłożonymi, iż niepodobna było nazwać koloru; szyja zdawała się zrazu bielsza niż śnieg, zad zieleńszy niż liść koniczyny, jeden bok czerwony jak szkarłat, drugi żółty jak szafran, brzuch niebieski jak kamień lazuru, grzbiet różowy; wszystkie te kolory tańczyły w oczach i mieniły się kolejno, białe i zielone, żółte, niebieskie, purpurowe, ciemne i żywe. Nosił na szyi dzwoneczek zawieszony na złotym łańcuszku, o dźwięku tak wesołym, tak jasnym, tak lubym, iż słysząc go serce Tristana rozczuliło się, ukoilo i żalność jego stopniała. Nie pamiętał już o mękach wycierpianych dla królowej; taka bowiem była cudowna cnota dzwoneczka, iż serce, słysząc to tak lube, wesołe, jasne dzwonięcie, zapominało wszystkie bólu. I gdy Tristan, wzruszony czarnoksięską mocą, pieścił zaczarowane zwierzątko, które odejmowało mu wszelkie strapienie i które sierść za dotknięciem ręki zdała się miększa niż aksamitna materia, pomyślał, że to byłby piękny podarek dla Izoldy. Ale co począć? Książę Żyleń miłował Milusia nad wszystko w świecie i nikt nie mógł go uzyskać prośbą ani podstępem.

Jednego dnia Tristan rzekł do księcia:

– Panie, co dałbyś temu, kto by oswobodził twą ziemię od olbrzyma Urgana Włochatego, ściągającego z was ciężkie haracze?

– Zaiste, temu, kto by go zwyciężył, pozwoliłbym wybrać wśród moich bogactw to, co by uznał za najbardziej cenne; ale nikt nie odważy się porwać na olbrzyma.

– Oto mi szczególne słowo! – odparł Tristan. – Nigdy dobro nie płynie skądinąd niż z przygody. Wiedz, iż za wszystko złoto Mediolanu nie wyrzekłbym się chęci potykania z olbrzymem.

– Zatem – rzekł diuk Żyleń – niech Bóg zrodzony z Dziewicy towarzyszy ci i broni cię od śmierci!

Tristan dosięgnął Urgana Włochatego w legowisku. Długo walczyli wściekle. Wreszcie męstwo odniosło górę nad siłą, zwiczny miecz nad ciężką maczugą i Tristan uciawszy prawą pięść olbrzyma przyniósł ją księciu.

– Panie, za nagrodę, jako mi przyrzekłeś, daj mi Milusia, pieska swego zaczarowanego.

– Druhu, czegożes zażądał? Zostaw mi go i weź raczej moją siostrę i połowę królestwa.

– Panie, siostra twa piękna i piękne twe ziemie, ale po tom walczył z Urganem Włochatym, aby zdobyć psa czarodziejskiego. Pamiętaj o obietnicy!

– Weź tedy; ale wiedz, że zabrałaś radość mych oczu i wesele serca.

Tristan powierzył psa pewnemu rybałtowi walijskiemu, roztropnemu i chytremu, który go zaniósł w jego imieniu do Kornwalii. Przybył do Tyntagielu i oddał poufnie w ręce Brangien. Królowa ucieszyła się wielce, dała w nagrodę rybałtowi dziesięć sztuk złota i rzekła swemu panu, iż królowa Irlandii, jej matka, przysłała ten kosztowny podarek. Kazała złotnikowi wyrobić dla psa domek kosztownie wykładany kamieniami i złotem i wszędzie, gdzie szła, nosiła go z sobą przez pamięć przyjaciela. I za każdym razem, kiedy nań spojrziała, smutek, męka, żale znikły jej z serca.

Nie pojęła od razu cudowności: jeśli znajdowała taką słodycz w tym, by patrzeć na pieska, to dlatego, myślała, iż pochodzi od Tristana; z pewnością myśl o przyjacielu usypia tak jej boleść. Ale jednego dnia poznała, że jest to czarodziejstwo i że jedynie brzęk dzwoneczka zachwyca jej serce.

„Ha – pomyślała – godziż się, bym zażywała wytchnienia, podczas gdy Tristan jest nieszczęśliwy? Mógł był zachować tego zaczarowanego psa i zapomnieć w ten sposób całą boleść; przez wdzięczną pamięć wolał raczej

<sup>13</sup> Nie pomnisz, ukochana,  
Naszych miłych pieścizot?  
(Przeł. Z. Czerny)

mnie go posłać, przekazać mi radość i podjąć swą niedolę. Ale nie godzi się, aby tak być miało: Tristanie, chcę cierpieć równie długo, jak ty będziesz cierpiał.”  
Wzięła magiczny dzwonek, potrząsnęła nim ostatni raz, odcepiała z wolna; potem przez otwarte okno rzuciła go w morze.



## IZOLDA O BIAŁYCH DŁONIACH

*Ire de femme est a duter,  
Mult s'en deit bien chascuns garder.  
Cum de leger vient lur amur,  
De leger revient lur haür.<sup>14</sup>*  
Thomas

Kochankowie nie mogli żyć ani umrzeć jedno bez drugiego. W rozłączeniu nie było to życie ani śmierć, ale i życie, i śmierć razem.

Przez morza, przez wyspy i kraje Tristan chciał uchodzić swej niedoli. Ujrzał znowuż rodzinną ziemię lońską, gdzie Rohaht Dzierżący Słowo przyjął syna ze łzami rozczulenia; ale nie mogąc ścierpieć odpoczynku w swej ziemi Tristan wędrował dalej poza księstwa i królestwa szukając przygód. Z Lonii do Fryzji, z Fryzji do Gawii, z Alemanii do Hiszpanii, służył wielu panom, dokonał wielu dzieł. Ale przez dwa lata żadna wieść nie przyszła doń z Kornwalii, żaden przyjaciel, żadne poselstwo.

Wówczas uwierzył, iż Izolda odeszła odeń myślą i że go zapomniała.

Owóz zdarzyło się, iż jednego dnia jadąc samowtór z Gorwenalem wszedł na ziemię Bretanii. Jechali przez opustoszałą równinę: wszędy mury poburzone, wsie bez mieszkańców, pola zżarte ogniem; konie ich brodziły w węglu i popiele. Jadąc przez pusty step Tristan myślał:

„Jestem znużony i zmordowany. Na co mi się zdadzą te przygody? Moja pani daleko, nigdy jej nie obaczę. Czemu od dwu lat nie kazała mnie szukać po obcych krajach? Żadnego poselstwa od niej. W Tyntagielu król czci ją i służy jej: żyje w radości. Snadź dzwonek psa zaczarowanego dobrze pełni dzieło! Zapomina o mnie: mało jej waży minione żaloby i radości, mało waży nieszczęśnik, który błądzi po tym rozpaczonym kraju. Żaliz ja tylko nie zapomnę o tej, która mnie zapomina? Nigdyż nie znajdę kogoś, kto by uleczył mą nędzę?”

Przez dwa dni Tristan i Gorwenal mijali pola i grody nie ujrawszy człowieka, koguta, psa. Trzeciego dnia, o godzinie nony, zbliżyli się do pagórka, gdzie wznosiła się stara kaplica i tuż obok mieszkanie pustelnika. Pustelnik nie miał na sobie odzieży tkanej, jeno skórę kozłą wystrzępioną na grzbiecie. Rozciągnięty na ziemi, z nagimi łokciami i kolanami, dopraszał się u Marii Magdaleny, aby go natchnęła zbawienną modlitwą. Pożyczył zdrowia przybyszom i podczas gdy Gorwenal popasał konie, rozdział Tristana ze zbroi, po czym narządził jadło. Nie dał im wybrednych potraw, ale chleba jęczmiennego, ugniecionego z popiołem, i źródlanej wody. Po posiłku, skoro zapadła noc i skoro siedli koło ognia, Tristan spytał, co by to była ta spustoszona ziemia.

– Zacny panie – rzekł pustelnik – to ziemia Bretanii, którą dzierży diuk Hoel. Był to niegdyś piękny kraj, bogaty w łąki i uprawną rolę; tu młyny, tam sady jabłonne, ówdzie folwarki. Ale hrabia Ryjol z Nantes spustoszył wszystko; jego kwatermistrze wszędzie zażegli ogień i zewsząd wybrali łupy. Ludzie jego z bogacili się na długo: taki los wojny.

– Bracie – rzekł Tristan – dlaczego hrabia Ryjol tak pohańbił pana waszego, Hoela?

– Powiem ci tedy, panie, przyczynę tej wyprawy. Wiedźcie, że Ryjol był lennym diuka Hoela. Owóz diuk ma córkę, najpiękniejszą ze wszystkich cór królewskich, i hrabia Ryjol chciał ją pojąć za żonę. Ale ojciec wzdragał się oddać dziecko wasalowi; tedy hrabia Ryjol próbował uprowadzić ją siłą. Mnogo ludzi poległo w tej sprzeczce.

Tristan zapytał:

– Żali diuk Hoel może jeszcze ciągnąć na wojnę?

– Z wielkim trudem, panie. Mimo to ostatni zamek, Karheń, opiera się jeszcze; mury bo są mocne i mocne też serce syna diuka Hoela, Kaherdyna, śmiałego rycerza. Ale nieprzyjaciel przyciska ich i nęka głodem: czy będą mogli strzymać długo?

Tristan zapytał, jak daleko jest zamek karheński.

– Panie, o dwie mile tylko.

Rozstali się i udali na spoczynek. Rankiem, kiedy pustelnik odśpiewał modlitwy i skoro podzielili chleb z jęczmienia i popiołu, Tristan pożegnał cnotliwego męża i ruszył w stronę Karhenia.

---

<sup>14</sup> Należy obawiać się gniewu kobiety,  
Niech każdy ma się przed nim na bacności;  
Jak łatwo przychodzi im miłość,  
Tak łatwo przychodzi nienawiść.  
(Przeł. Z. Czerny)

Skoro zatrzymał się u stóp zamkniętych murów, ujrzał gromadkę ludzi stojących na okrzęnej drodze i spytał o diuka. Owóz Hoel znajdował się między tymi ludźmi wraz z synem Kaherdynem. Dał się poznać, Tristan zaś rzekł:

– Jestem Tristan, król ziemi lońskiej, a Marek, król Kornwalii, jest mym wujem. Dowiedziałem się, panie, że lennicy czyniąc krzywdę, i przybyłem ofiarować ci usługi.

– Niestety, królu Tristianie, jedź swoją drogą i niech cię Bóg nagrodzi! Jakoż cię przyjąć tutaj? Nie mamy już żywności; żadnego zboża, nic, jeno trochę bobu i jęczmienia, ot, aby wyżyć.

– Cóż o to? – rzekł Tristan. – Żyłem dwa lata w boru zieleń, korzeniami i dziczyzną i wieście, że mile mi było to życie. Nakażcie, by otwarto bramę.

Wówczas rzekł Kaherdyn:

– Przyjm go, ojcze, skoro taki w nim duch, niechaj dzieli z nami dołę i niedołę.

Przyjęli go ze czcią. Kaherdyn dał gościowi zwiedzić tegie mury i warowną wieżę, dobrze opatrzoną ostrokołem, za którym byli zasadzeni strzelcy z kuszami i procami. Z blanków muru ukazał w oddali na równinie namioty i flagi zatknięte przez hrabiego Ryjola. Skoro wrócili na próg zamku, Kaherdyn rzekł:

– A teraz, miły druhu, pójdziemy do komnaty, gdzie jest matka moja i siostra.

Obaj trzymając się za ręce weszli w komnaty niewiast. Siedząc na kobiercu matka i córka zdobyły złotogłowiem angielski atlas i śpiewały piosnkę miłosną. Powiadały, jako Piękna Doeta, siedząc na wietrze, pod krzem białego głogu, czeka i oplakuje Doona, swego przyjaciela, tak opieszalego w powrocie. Tristan skłonił się i one jemu wzajem, po czym rycerze siedli obok. Kaherdyn ukazując stulę, którą haftowała matka, rzekł:

– Widzisz oto, miły druhu Tristianie, jaką robotnicą jest moja pani; jak umie nadobnie złocić stulę i ornaty, aby z nich czynić podarek ubogim klasztorom! Patrz, jak ręce siostry śmigają nitką złotą po białym atłasie! Na mą cześć, miła siostrze, słusznie ci przystało nosić miano Izoldy o Białych Dłoniach!

Wówczas Tristan usłyszawszy, iż zowie się Izoldą, uśmiechnął się i spojrzął na nią łagodnie.

Owóz hrabia Ryjol rozłożył obóz o trzy mile od Karhenia i od wielu dni ludzie diuka Hoela nie śmieli już przekraczać bram, aby go zaczepiać. Ale zaraz nazajutrz Tristan, Kaherdyn i dwunastu młodych rycerzy wyruszyli z Karhenia wdziawszy pancerze, zawiąawszy hełmy i jechali pod świerkowym lasem aż w pobliże namiotów nieprzyjacielskich; następnie, wypadwszy z zasadki, wprowadzili siłą tabor hrabiego Ryjola.

Począwszy od tego dnia, zmieniając raz po raz podstępny i sztuki wojenne, obalali źle strzeżone namioty, zaczepiali podjazdy, nekali i zabijali ludzi i nigdy nie wracali do domu, iżby nie przynieśli jakiegoś łupu. Tak walcząc, strzeżenie przy strzemieniu, Tristan i Kaherdyn zaczęli pokładać w sobie wiarę i życzliwość, aż zgola zaprzysięgli przyjaźń i braterstwo. I nigdy nie chybili słowu, jak historia was o tym pouczy.

Owo, podczas gdy wracali z harców, rozmawiając o wszelkim rycerskim i dworskim obyczaju, często Kaherdyn zachwalał miłemu druhowi siostrę Izoldę o Białych Dłoniach, prostą i piękną.

Jednego rana, kiedy błysnął pierwszy świt, strażnik zeszedł spieszenie z wieży i biegł przez sale krzycząc:

– Panowie miłościwi, za długoście spali! Wstawajcie, Ryjol szturmuję do zamku!

Rycerze i mieszczany uzbroili się i pobiegli na mury. Ujrzeni na równinie błyszczące hełmy, rozwiane pióropusze i całą wiarę Ryjolową, która posuwała się w pięknym porządku. Diukowie Hoel i Kaherdyn rozwinęli natychmiast przed bramą pierwsze szyki rycerzy. Przybywszy na strzelanie z łuku, opatrzyli konie i czekali ze spuszczonej włóczni, a strzały padały na nich na kształt kwietniowego deszczu.

Tristan zbroił się także wraz z tymi, których czaty pobudziły ostatnich. Opasuje pludry, naciąga kaftan, nogawice, ciasne nagolenniki; wdziewa pancerz, nakłada hełm wraz z przyłbicą; siada na koń, pędzi rumaka ostrogą aż w równinę i ukazuje się z tarczą wyciągniętą przed pierś, krzycząc:

– Karheń!

Był czas; już ludzie Hoelowi cofali się ku bramom. Pięknie to było wówczas widzieć powalone konie i ranionych wasali, ciosy zadawane przez młodych rycerzy i trawę czerwieniącą się pod ich stopami od krwi! Na czele wszystkich Kaherdyn zatrzymał się śmiało, widząc, jak pędzi ku niemu mężny baron, brat hrabiego Ryjola. Zderzyli się pochylonymi kopiami. Nantejczyk złamał swoją nie wstrząsnąwszy w siodle Kaherdyna, który pewnie wymierzonym ciosem uchylił tarcz przeciwnika i wbił mu szmelcowane żelazo w bok aż po drzewce. Wyważony z siodła jeździec opuszcza strzemiona i pada.

Na krzyk brata hrabia Ryjol rzucił się na Kaherdyna z puszczonej cuglami. Ale Tristan zagroził mu drogę. Kiedy się zderzyli, lanca Tristana złamała się w rękę, zasię kopia Ryjolowa, napotkawszy pierś konia, wnikła w ciało i rozciągnęła rumaka martwo na błoniu. Tristan, zerwawszy się natychmiast z błyszczącym mieczem w dłoni:

– Tchórz! – rzekł – hańba temu, kto niechca jeźdźca, aby znęcać się nad koniem! Nie wyjdiesz żyw z tego miejsca.

– Sądzę, że łesz! – odparł Ryjol napierając koniem.

Ale Tristan uchylił się przed ciosem i podnosząc ramię opuścił ciężko brzeszczot na hełm Ryjolowy, którego obręcz uszkodził i zerwał przyłbicę. Lanca ześliznęła się z ramienia jeźdźcy po boku konia, który zachwiał się i

runął martwy. Ryjol zdołał się wyplątać spod niego i zerwał się; z pociętą, podziurawioną tarczą, połamaną zbroją, obaj pieszo szukają się i nacierają wzajem. Wreszcie Tristan ugodził Ryjola w guz hełmu. Obręcz puszcza, cios zaś był tak mocno wymierzony, iż baron pada na kolana i dłonie.

– Podnieś się, jeśli zdołasz, wasalu – krzyczy Tristan – w nieszczęsną godzinę przyszedłeś na te błonia; trzebać umrzeć!

Ryjol zrywa się na nogi, ale Tristan sięga go nowym ciosem, który rozwalił hełm, przeciął czapę i otworzył czaszkę. Ryjol błagał łaski, prosił o darowanie życia; Tristan przyjął jego miecz. Wziął go w porę, ze wszystkich bowiem stron Nantejczycy śpieszyli na pomoc swemu panu. Ale już pan był w niewoli.

Ryjol przyrzekł udać się do więzienia diuka Hoela, przysiąc mu na nowo hołd i wiarę i odbudować spalone wsie i grody. Na jego rozkaz bitwa uciszyła się i orszak się oddalił.

Skoro zwycięzcy wrócili do Karhenia, Kaherdyn rzekł do ojca:

– Panie, wezwij Tristana i zatrzymaj go; nie masz w świecie dzielniejszego rycerza, a twój kraj wymaga barona tej mocy.

Naradziwszy się ze swymi ludźmi diuk Hoel przywołał Tristana:

– Przyjacielu, nie mógłbym ci okazać zbyt wiele miłości, ty bowiem ocaliłeś mi tę ziemię. Chcę oto wypłacić się wobec ciebie. Córka moja, Izold o Białych Dłoniach, zrodzona jest z książąt, królów i królowych. Weź ją, przyzwalam.

– Panie, biorę ją! – rzekł Tristan. Ha, panowie moi, czemuż wyrzekł to słowo? Ale dla tego słowa umarł.

Dzień już obrano, ustanowiono porę. Diuk przybywa ze swymi przyjaciółmi, Tristan ze swymi. Kapelan śpiewa mszę. Wobec wszystkich, u bramy klasztoru, wedle prawa świętego Kościoła, Tristan zaślubia Izoldę o Białych Dłoniach. Wesele było huczne i bogate.

Ale za nadejściem nocy, gdy ludzie Tristanowi rozdzielali go z ubiorów, zdarzyło się, iż ściągając zbyt ciasny rękaw kaftana zdjęli mu z palca i upuścili na ziem pierścień z zielonego jaspisu, pierścień Izoldy Jasnowłosej. Zadźwięczał jasno na podłodze. Tristan patrzy i widzi go. Wówczas dawna miłość budzi się w sercu i Tristan poznaje swą zbrodnię.

Przypomina mu się dzień, w którym Izold Złotowłosa dała mu ten pierścień: było to w lesie, gdzie dla niego wiodła twarde życie. I wyciągnięty przy innej Izoldzie, ujrzał w pamięci szalaś w moreńskim boru. Przez jakie szaleństwo oskarżył w sercu przyjaciółkę swą o zdradę? Nie, ona cierpiała dlań wszystką nędzę i on sam tylko ją zdradził. Ale litował się równie nad Izoldą, swą żoną, prostą, piękną. Dwie Izoldy pokochały go w nieszczęsnej godzinie. Obydwom chybił wiary.

Tymczasem Izoldo Białych Dłoniach dziwiła się słysząc, jak Tristan wzdycha wyciągnięty przy jej boku. Rzekła wreszcie, nieco zawstydzona:

– Drogi panie, czy obraziłam cię w czymkolwiek? Dlaczego nie dasz mi ani jednego pocałunku? Powiedz, niech poznam swój błąd, a przyrzekam zań piękną pokutę, jeśli zdołam.

– Przyjaciółko – rzekł Tristan – nie gniewaj się, ale uczyniłem ślub. Niegdyś, w innym kraju, wojowałem ze smokiem i miałem zginać, kiedy przypomniałem sobie Matkę Bożą: przyrzekłem jej, iż oswobodzony od smoka cudowną łaską, kiedy pojme żonę, przez cały rok powściągnę się od uściskania jej i poznania...

– Tedy – rzekła Izolda o Białych Dłoniach – ścierpię to łagodnie.

Ale kiedy służebnice rankiem oblekały jej zapaskę niewiast poślubionych, uśmiechnęła się smutno i pomyślała, iż zgoła nie ma praw do tej ozdoby.

## KAHERDYN

*La dame chante dulcement,  
Sa voix acorde a l'instrument.  
Les mains sont beles, li lais bons,  
Dulce la voix et bas li tons.*<sup>15</sup>

Thomas

W kilka dni później diuk Hoel, jego kasztelan i wszyscy łowcy, Tristan, Izolda o Białych Dłoniach i Kaherdyn wyjechali społem z zamku, aby zapolować w boru. Na ciasnej drodze Tristan jechał po lewicy Kaherdyna, który prawą dłonią przytrzymywał cugle rumaka Izoldy o Białych Dłoniach. Owóz rumak potknął się w bajorze. Kopyto jego prysło wodę tak mocno pod suknię Izoldy, iż cała zamokła i uczuła chłód aż powyżej kolan. Wydała lekki krzyk i ukłuciem ostrogi popędziła konia śmiejąc się tak donośnym i jasnym śmiechem, iż Kaherdyn, który pognał za nią i doścignął ją, zapytał:

– Miła siostrze, czemu się śmiejesz?

– Z myśli jednej, która mnie nawiedziła, miły bracie. Kiedy ta woda prysnęła ku mnie, rzekłam jej:

„Ej, wodo, na więcej się ważysz, niż kiedykolwiek odważył się śmiały Tristan!”, i z tego się śmiałam. Ale już za wiele rzekłam, bracie, i żałuję swej mowy.

Kaherdyn, zdziwiony, przyciskał ją tak żywo, aż wreszcie wyznała prawdę o swych zaślubinach.

Wówczas Tristan zrównał się z nimi i wszyscy troje jechali w milczeniu aż do myśliwskiego domku. Tam Kaherdyn odwołał Tristana na rozmowę i rzekł:

– Panie Tristanie, siostra wyznała mi prawdę o swych zaślubinach. Uważałem cię jako równego mi i druha. Ale ty zdeptałeś mą wiarę i pohańbiłeś me krewieństwo. Z tą chwilą, jeśli nie uczynisz mi zadość, jak się godzi, wiedz, że cię wyzywam. Tristan odpowiedział:

– Tak, przybyłem między was na wasze nieszczęście. Ale usłysz mą nędzę, miły, słodki przyjacielu, bracie i towarzyszu, a może serce twoje uśmierzy się. Wiedz, że mam inną Izoldę, piękniejszą od wszystkich kobiet, która wycierpiała i cierpi jeszcze dla mnie mnogie niedole. Zaiste, siostra twoja żywi dla mnie miłość i cześć; ale, dla mej miłości, więcej czci niż twoja siostra mnie świadczy, tamta Izolda świadczy psu, którego dałem jej w podarunku. Pójdź, opuśćmy te łowy, pójdź ze mną, gdzie cię zaprowadzę; opowiem ci nędzę swego życia. Tristan zatoczył koniem i pognał żwawiej. Kaherdyn pchnął dzianeta w jego ślady. Bez słowa pędzili w najdalszą głąb lasu. Tam Tristan odsłonił swe życie Kaherdynowi. Rzekł mu, jako na morzu wypił miłość i śmierć; opowiedział o zdradzie baronów i karła; o tym, jak królowę zawiedziono na stos i wydano trędowatym. Opowiedział ich miłowanie w dzikim boru; i jak ją oddał królowi Markowi; i jak uciekwszy od niej chciał kochać Izoldę o Białych Dłoniach; ale poznał obecnie, iż nie może żyć ani umierać bez królowej.

Kaherdyn milczy i dziwuje się. Czuje, jak gniew mimo woli w nim opada.

– Przyjacielu – rzekł wreszcie – słyszę przedziwne słowa. Wzruszyłeś serce moje litością, wycierpiałeś bo takie męki, iż niech Bóg strzeże od nich każdego i każdą! Wracajmy do Karhenia; trzeciego dnia, jeśli zdołam, powiem ci swoją myśl.

W komnacie swojej, w Tyntagielu, Izolda Jasnowłosa wzdycha z przyczyny Tristana, którego przyzywa. Kocha go ciągle; nie ma innej myśli, innej nadziei, innej chęci. W nim całe jej pragnienie i oto, od dwóch lat, nie wie nic o nim. Gdzie jest? W jakim kraju? Żyjeli zgoła?

W komnacie swojej Izolda Jasnowłosa siedzi i nuci smutną piosenkę miłości. Powiada, jako Gurona pochwycono i zabito dla miłości damy, którą miłował nad wszystko inne, i jak podstępnie hrabia dał do zjedzenia serce Gurona swej żonie, i jej okrutną boleść.

Królowa śpiewa z cicha, dostraja głos do dźwięku harfy. Ręce jej są piękne, piosnka wdzięczna, ton głęboki, głos słodki.

Wtem wchodzi Kanado, bogaty hrabia z oddalonej wyspy. Przybył do Tyntagielu, aby ofiarować królowej służby, i wiele razy od czasu przyjazdu przygadywał do niej o miłości. Ale królowa odtrąciła jego żądania i

<sup>15</sup> Dama słodko śpiewa,  
Głos uzgadnia z instrumentem.  
Piękne ma ręce, opowieść miła,  
Słodki ma głos, niski jego ton.  
(Przeł.Z. Czerny)

mieniła je szaleństwem. Był to piękny rycerz, wyniosły i dumny, kwiecisty w mowie, ale więcej wart w komnatach niewieścich niż w bitwie. Zeszedł Izoldę, gdy nuciła swą piosnkę.

– Pani, jakaż smutna pieśń, smutna jak zawodzenie orła morskiego! Nie powiadają, iż orzeł morski śpiewa, aby oznajmić śmierć? Moją to śmierć bez wątpienia zapowiada wasza piosnka: umieram bowiem z miłości dla was!

– Dobrze więc – rzecze Izolda – godzę się, aby mój śpiew oznaczał waszą śmierć, nigdy bowiem nie wesłicie tutaj, izbyście mi nie przynieśli bolesnej nowiny. Wy to byliście zawsze orłem morskim lub puszczykiem, aby źle mówić o Tristanie. I dzisiaj jaką wraźną nowinę przynosicie jeszcze?

Kariado odparł:

– Królowo, nie wiem, o co się gniewasz; ale szalony byłby, kto by się wzruszał twymi gadaniami! Jak bądź się mają rzeczy z ową śmiercią, którą jakoby wróży mi morski orzeł, oto zła nowina, którą przynosi ci puszczyk.

Tristan, twój przyjaciel, stracony dla ciebie, pani Izoldo. Pojął żonę w innej ziemi. Odtąd możesz szukać pociechy gdzie indziej, on bowiem wzgardził twą miłością. Pojął z wszelką paradą żonę, Izoldę o Białych Dłoniach, córkę diaka Bretanii.

Kariado odchodzi pogniwany. Izold Jasnowłosa opuszcza głowę i zaczyna płakać.

Trzeciego dnia Kaherdyn przywołał Tristana.

– Przyjacielu, poszukałem rady w sercu. Tak, rzekłeś prawdę, życie, które wieszysz w tej ziemi, jest zbrodnią i szaleństwem i nic dobrego nie może stąd wypłynąć ani dla ciebie, ani dla siostry mej, Izoldy o Białych Dłoniach. Wysłuchaj tedy, coc rzekę. Popłyniemy zaraz do Tyntagielu; ujrysz królowę; doświadczysz, żali ciągle smęci po tobie i chowa ci wiarę. Jeśli cię zapomniała, może łacniej obrócisz wówczas serce ku Izoldzie, mojej siostrze, skromnej i pięknej. Pojadę z tobą; żali nie jestem ci bratem i towarzyszem?

– Bracie – rzekł Tristan – dobrze to powiadają: serce człowieka więcej warte niż złoto całej krainy.

Wnet Tristan i Kaherdyn wzięli kostur i burkę pielgrzymią, jak gdyby chcieli odwiedzić ciało świętych w dalekiej ziemi. Pożegnali się z diukiem Hoelem i prosili o pozwolenie. Tristan wiódł z sobą Gorwenalę, Kaherdyn – jedyne go giermka. Potajemnie narządzili statek i popłynęli do Kornwalii.

Wiatr był lekki i życzliwy, tak iż pewnego rana przed świtem dobili niedaleko Tyntagielu do odludnej przystani, w pobliżu zamku lidańskiego. Tam z pewnością Dynas z Lidanu, dzielny marszałek dworu, ugości ich i będzie umiał zataić ich przybycie.

Z pierwszym brzaskiem dwaj towarzysze wędrowali w stronę Lidanu, kiedy ujrzeni za sobą człowieka, który łagodnym truchtem jechał tą samą drogą. Rzucili się w las, ale człowiek minął ich nie widząc, albowiem drzemał na siodle. Tristan poznał go.

– Bracie – rzekł po cichu do Kaherdyna – to sam Dynas z Lidanu. Śpi. Bez wątpienia wraca od miłej przyjaciółki i śni jeszcze o niej; nie byłoby grzecznie go budzić, ale idź za mną z dala.

Dognał Dynasa, ujął łagodnie konia za cugle i szedł bez hałasu u jego boku. Wreszcie potknięcie konia obudziło śpiącego. Otwiera oczy, widzi Tristana, waha się.

– To ty, to ty, Tristanie! Niech Bóg błogosławi godzinę, w której cię widzę; tyle się jej wyczekałem!

– Przyjacielu, niech ci Bóg sprzyja! Jakie nowiny powiesz mi o królowej?

– Niestety, ciężkie nowiny. Król miłuje ją i pragnie jej wesela; ale od czasu twego wygnania ona usycha i płacze za tobą. Ach, czemuż powracasz ku niej? Żali chcesz jeszcze szukać jej i swojej śmierci? Tristanie, miej litość nad królową, ostaw ją w spokoju!

– Przyjacielu – rzekł Tristan – przyzwól mi jedną łaskę; ukryj mnie w Lidanie, zanieś jej moje poselstwo i spraw, abym ją ujrzał raz, jedyne raz.

Dynas odpowiedział:

– Żal mi twej damy; spełnię poselstwo jedynie wówczas, jeśli się dowiem, iż została ci drogą ponad wszystkie krasawice świata.

– Ach, panie, powiedz jej, że została mi drogą ponad wszystkie: otoć i prawda.

– Pójdź tedy za mną, Tristanie, wspomogę cię w twej potrzebie.

W Lidanie marszałek dworu ugościł Tristana, Gorwenalę, Kaherdyna i jego giermka. Skoro Tristan opowiedział, punkt po punkcie, przygody swego życia, Dynas udał się do Tyntagielu, aby wywiedzieć się o nowiny na dworze. Dowiedział się, iż za trzy dni królowa Izolda i król Marek, cały orszak, wszyscy giermkowie i myśliwcy opuszczą Tyntagiel, aby rozgościć się w zamku Białej Równi, gdzie narządzono dla nich wielkie łowy.

Wówczas Tristan powierzył kasztelanowi pierścień z zielonego jaspisu i poselstwo, które miał zanieść królowej.

## DYNAS Z LIDANU

*„Bele amie, si est de nus;  
Ne vus sans mei, ne jo sans vus.”<sup>16</sup>*  
Marie de France

Dynas wrócił tedy do Tyntagielu, wstąpił po schodach i wszedł do sali. Pod baldakinem król Marek i Izolda Jasnówłosa siedzieli przy szachownicy. Dynas zajął miejsce na zydlu w podług królowej, jak gdyby przyglądał się grze, i po dwakroć udając, że wskazuje figury, położył rękę na szachownicy. Za drugim razem Izolda poznała na palcu pierścień z jaspisu. Natychmiast odechciało się jej grania. Trąciła lekko ramię Dynasowe w taki sposób, że kilka pieszków przewróciło się.

– Widzisz, kasztelanie – rzekła – zburzyłeś mi grę, i to tak, że nie sposób jej podjąć.

Marek opuszcza sałę, Izolda chroni się do komnaty, każe wołać kasztelana do siebie.

– Panie miły, jesteście posłańcem Tristana?

– Tak, królowo, jest w Lidanie, ukryty w moim zamku.

– Żali prawda, że pojął żonę w Bretanii?

– Królowo, powiedzianość prawdę. Ale on upewnia, iż cię nie zdradził; iż ani na dzień nie przestał cię miłować nad wszystkie inne; że umrze, jeśli cię nie ujrzy bodaj jeden raz. Błaga, byś zgodziła się na to w imię przyrzeczenia, które dałaś mu ostatniego dnia, gdy mówił z tobą.

Królowa słuchała przez chwilę, myśląc o drugiej Izoldzie. Wreszcie odparła:

– Tak, w ostatnim dniu, gdy mówił ze mną, przypominam to sobie, rzekłam: „Jeśli kiedykolwiek ujrzę pierścień z zielonego jaspisu, ani wieża, ani warowny zamek, ani zakaz królewski nie przeszkodzą mi spełnić woli przyjaciela, będąc to rozsądek czy szaleństwo...”

– Królowo, od dziś za dwa dni dwór ma opuścić Tyntagiel, aby się udać na Białą Równię; Tristan powiadamia cię, iż będzie czekał ukryty przy drodze, w krzakach głogu. Błaga, abyś się ulitowała nad nim.

– Rzekłam: ani wieża, ani warowny zamek, ani zakaz królewski nie przeszkodzą mi spełnić życzenia przyjaciela. Trzeciego dnia, podczas gdy cały dwór Marka gotował się wyruszyć z Tyntagielu, Tristan i Gorwenal, Kaherdyn i jego giermek wdziali pancerze, wzięli miecze i tarcze i tajemnymi ścieżkami puścili się ku oznaczonemu miejscu. Dwie drogi prowadziły przez las na Białą Równię: jedna piękna i dobrze ubita, którą miał przejeżdżać orszak, druga kamienista i opuszczona. Przy tej drodze Tristan i Kaherdyn pozostawili giermków, aby czekali na miejscu swych panów, strzegąc koni i tarcz. Sami wsunęli się w las i ukryli w chaszczu. Przed tym chaszczem Tristan położył gałązkę leszczyny, do której umocowany był pęd wiciokrzewu.

Niebawem orszak ukazał się na drodze. Najpierw świta króla Marka. Ciągną w pięknym porządku intendenci i kwatremistrze, kucharze i podczaszowie, ciągną kapelani, ciągną psiarkowie wiodący charty i ogary, potem sokolnicy niosący ptaki na lewej pięści, potem łowczowie, potem rycerze i baroni; jadą sobie pomalutku, w pięknym oryndku, parami. Lubo jest widzieć ich bogato odzianych, na koniach o aksamitnych rzędach, wysadzanych kosztownościami. Potem przejechał król Marek; Kaherdyn cudował się widząc zaufanych jego jadących obok, dwóch po prawicy, dwóch po lewicy – wszystkich odzianych w złotogłowa i szkarłaty. Z kolei wysunął się orszak królowej. Dziewczęta służebne od bielizny i pokojów jechały przodem, potem żony i córki baronów i hrabiów. Ciągną jedna za drugą, sznurkiem; młody kawaler towarzyszy każdej z nich. Wreszcie nadjeżdża rumak i niesie jeźdźczynię, piękniejszą od wszystkich, jakie kiedykolwiek Kaherdyn oglądał na oczy: pięknie ukształtowaną na ciele i licu, w miarę szeroką w biodrach, z pięknie naznaczonymi brwiami, śmiejącymi się oczyma, drobnymi ząbkami; okrywa ją suknia z czerwonego atlasu, misterny łańcuszek ze złota i kamieni zdobi jej gładkie czoło.

– To królowa – rzekł Kaherdyn po cichu.

– Królowa? – rzekł Tristan. – Nie, to Kamila, jej służebna.

Wówczas nadjeżdża na karym rumaku inna pani, bielsza niż śnieg lutowy, różowsza niż róża; jasne jej oczy migocą niby gwiazda w źródle.

– Ha, widzę ją, to królowa! – rzekł Kaherdyn.

– Ej, nie – rzekł Tristan – to Brangien, wierna służka.

Wtem droga rozjaśniła się, jak gdyby słońce spłynęło nagle przez listowie wielkich drzew, i ukazała się Izolda Jasnówłosa. Diuk Andret – niech go Bóg pohańbi! – jechał po jej prawicy.

---

<sup>16</sup> Ukochana, tak jest z nami,  
Ni ty beze mnie, ni ja bez ciebie!  
(Przeł. Z. Czerny)

W tejże chwili wzniosł się z krzaka głógowego śpiew piegży i skowronka: Tristan wkładał w tę melodię całą swoją tkliwość. Królowa zrozumiała poselstwo przyjaciela. Spostrzegła na ziemi gałązkę leszczyny, w której tkwi mocno pęd wiciokrzewu, i myśli w sercu: „Tak i z nami, przyjacielu; ani ty beze mnie, ani ja bez ciebie.” Zatrzymuje rumaka, zsiada i podchodzi ku klaczy, która nosiła na sobie budkę bogato ozdobioną kamieniami; tam, na purpurowym kobiercu, spoczywał piesek Miluś. Bierze go w ramiona, głaszcze dłonią, pieści krajuśkiem płaszcz z gronostajów, świadczy mu wszelką czułość. Następnie, złożwszy pieska z powrotem w kołyskę, obraca się w stronę głógowego krza i powiada głośno: Ptaszyny tego lasu, któreście mnie oweseliły piosnką, biorę was w najem. Podczas gdy mój pan Marek będzie jechał aż do Białej Równi, ja zatrzymam się w zamku Świętego Łubina. Dążcie tam za mną, ptaszyny: dziś wieczór nagrodzę was sowicie jako dobrych minstrelów.

Owóz słuchajcie nowej przygody. W porze gdy przeciągał orszak królewski, tam na drodze, gdzie Gorwenal i giermek Kaherdyna pilnowali koni swych panów, zjawił się rycerz w zbroi, imieniem Bleheri. Poznał z daleka Gorwenala i tarczę Tristanową: „Com ja ujrzał! – pomyślał w duchu. – To Gorwenal, a ten drugi to sam Tristan w swojej osobie!” Pchnął konia ostrogą ku nim i krzyknął:

– Tristanie!

Ale już giermkowie zatoczyli konie i umknęli. Bleheri pędząc za nimi powtarzał:

– Tristanie, stój, zaklinam cię na twe męstwo! Ale giermkowie nie odwracali się. Wówczas Bleheri krzyknął:

– Tristanie! Stój, zaklinam cię na imię Izoldy Złotowłosej!

Po trzykroć zaklinał uciekających na imię Złotowłosej Izoldy. Próżno: znikli i Bleheri zdołał osiągnąć tylko jednego z koni, którego zabrał z sobą jako łup. Przybył do zamku Świętego Łubina, w chwili gdy królowa zajęła tam kwatery. Za czym zdybawszy królowę samą rzekł:

– Królowo, Tristan jest w tej ziemi. Widziałem go na opuszczonej drodze wiodącej z Tyntagielu. Uszedł przede mną. Po trzykroć wzywałem, aby się zatrzymał, zaklinając go na imię Izoldy Jasnowłosej; ale uląkł się, nie śmiał czekać na mnie.

– Dobry panie, powiadasz kłamstwo i szaleństwo: jakoż Tristan mógłby być w tej ziemi? Jakoż uciekałby przed tobą? Jakoż nie zatrzymałby się, zaklęty na me imię?

– Wszelako, pani, widziałem go, i to tak pewnie, iż ująłem jednego z jego koni. Ot, stoi tam, okulbaczony jeszcze, na boisku.

Ale Bleheri ujrzał na licu Izoldy gniew. Żal mu się uczyniło, miłował bowiem Tristana i królowę. Opuścił ją żałując tego, co powiedział.

Wówczas Izolda zapłakała i rzekła:

– Nieszczęśliwa! Zbyt długo żyłam, skoro doczekałam się dnia, w którym Tristan drwi sobie i hańbi mnie! Niedyś, zaklęty na me imię, jakimuż nieprzyjacielowi nie stanąłby do oczu? Jest śmiały z przyrody; jeśli uciekł przed Bleherim, jeśli nie raczył zatrzymać się na imię przyjaciółki, ach, to znak, że inna Izolda nim włada! Dlaczego przybył? Zdradził mnie, chciał mnie jeszcze pohańbić na domiar! Nie dosyćże miał moich ubiegłych męczarni? Niechajże wraca tedy, wzgardzony i on wzajem, do Izoldy o Białych Dłoniach.

Zawołała Perynisa, wiernego służkę, i powtórzyła mu nowiny, które Bleheri przyniósł. Dodała:

– Przyjacielu, poszukaj Tristana na opuszczonej drodze, która wiedzie z Tyntagielu do zamku Świętego Łubina. Powiesz, że go nie pozdrawiam i niech nie waży się zbliżyć do mnie, bo go każę przepędzić strażnikom i sługom...

Perynis puścił się w poszukiwanie, aż znalazł Tristana i Kaherdyna. Przekazał im poselstwo królowej.

– Bracie – wykrzyknął Tristan – co wyrzekłeś? Jakoż mógłbym uciekać przed Bleherim, skoro, widzisz sam, nie mamy nawet swoich koni? Gorwenal ich pilnował, nie znaleźliśmy go w umówionym miejscu i szukamy jeszcze.

W tej chwili wrócił Gorwenal i giermek Kaherdynowy; opowiedzieli przygodę.

– Perynis, miły, słodki przyjacielu – rzekł Tristan – wracaj żywo do swej pani. Powiedz, że jej przesyłam cześć i miłość, że nie chybiłem wierze, którą jej jestem dłużen, że jest mi drogą nad wszystkie kobiety w świecie; proś, aby cię przysłała ku mnie z powrotem, iżbyś mi przyniósł jej łaskę; zaczekam tu, aż wrócisz.

Perynis pognął tedy do królowej i powtórzył, co widział i słyszał. Ale ona nie uwierzyła.

– Ha, Perynis, byłeś mym bliskim i wiernym i ojciec mój przeznaczył cię, dzieckiem jeszcze, iżbyś mi służył.

Ale snadź Tristan – czarownik opętał cię przez kłamstwo i podarki. Ty także zdradziłeś mnie! Idź sobie!

Perynis ukląkł przed nią.

– Pani, słyszę twarde słowa. Nigdy nie zaznałem w życiu takiej zgryzoty. Ale mało dbam o siebie: żal mi ciebie, pani, iż czynisz zniewagę panu memu, Tristanowi, i że zbyt późno pożałujesz tego.

– Idź precz, nie wierzę ci! Ty także, ty, Perynis, Perynis Wierny, zdradziłeś mnie!

Tristan czekał długo, aż Perynis przyniesie mu przebaczenie królowej. Perynis nie przybył.

Rankiem Tristan okrył się wielką postrzępioną burką. Umalował miejscami twarz cynobrem i łupką z orzecha, iżby podobny był choremu zżartemu trędem. Wziął do ręki misę drewnianą dla zbierania jałmużny i grzechotkę trędowatego.

Wchodzi w ulice grodu Świętego Łubina i zmieniając głos prosi jałmużny każdego przechodnia. Czy zdoła bodaj ujrzeć królowę?

Wreszcie Izolda wychodzi z zamku; Brangien i inne dworki, słudzy i strażnicy towarzyszą jej. Kieruje się drogą, która wiedzie do kościoła. Trędowaty bieży w trop za służbą, hałasi grzechotką, błaga żałośliwym głosem:

– Królowo, okaż mi łaskę, nie wiesz, jak mi tego trzeba!

Po jego pięknym cielem, po wroście Izolda poznała go. Dreszcz przebiegł całą, ale nie raczy zniżyć spojrzenia ku niemu. Trędowaty wciąż błaga; doprawdy, litość była słuchać; wlecze się za nią.

– Królowo, jeśli śmiem zbliżyć się do ciebie, nie gniewaj się; ulituj się nade mną, zasłużyłem na to wielce!

Ale królowa woła swoich sług i strażników:

– Pędźcie precz trędowatego! – rzekła. Słudzy odpychają go, biją. Opiera się i krzyczy:

– Królowo, miej litość!

Wówczas Izolda wybuchnęła śmiechem. Śmiech jej brzmiał jeszcze, kiedy wchodziła do kościoła. Skoro trędowaty usłyszał jej śmiech, odszedł. Królowa uczyniła kilka kroków w nawie kościoła; potem członki jej ugięły się – upadła na kolana, głową o ziemię, z rozkrzyżowanymi ramionami.

Tegoż samego dnia Tristan pożegnał Dynasa z taką rozpaczą, iż zdawało się, że postradał zmysły. Wnet okręt jego rozwinął żagle ku Bretanii.

Niestety! Niebawem królowa pożałowała tego. Skoro dowiedziała się przez Dynasa z Lidanu, iż Tristan odjechał w takiej żalobie, zaczęła wierzyć, iż Perynis powiedział prawdę; iż Tristan nie uciekł, zaklęty na jej imię; iż wygnała go precz bardzo niesłusznie. „Jak to – myślała – ja ciebie wygnałam, ciebie, Tristanie, przyjacielu! Będziesz mnie nienawidził odtąd i nigdy cię już nie ujrzę! Nigdy nie dowiesz się nawet o moim żalu ani o tym, jaką karę chcę sobie nałożyć i ofiarować ci jako drobny zakład mej skruchy.”

Od tego dnia, aby się ukarać za swój błąd i szaleństwo, Izolda Jasnowłosa przywdziała włosiennicę i nosiła ją na ciele.



## SZALEŃSTWO TRISTANA

*El beivre fu la nostre mort.*<sup>17</sup>

Thomas

Tristan ujrzał z powrotem Bretanię, Karheń, diuka Hoela i żonę swą, Izoldę o Białych Dłoniach. Wszyscy przyjęli go wdzięcznie, ale Izold Jasnowłosa wygnała go: nic mu już nie ważyło. Długo usychał z dala od niej; wreszcie jednego dnia pomyślał, że chce ją widzieć, chociażby miał jeszcze raz być szpetnie obitym przez sługi i strażników. Z dala od niej czuł, iż śmierć jego jest pewna i bliska; raczej umrzeć od jednego razu niż konać dzień po dniu. Kto żyje w męczarni, jest jakby umarły. Tristan pragnie śmierci, żąda śmierci; ale niech królowa dowie się bodaj, że zginął z miłości dla niej; niech się dowie, a lżej mu będzie umrzeć.

Wyrusza z Karhenia nie uprzedzając nikogo, ani krewnych, ani przyjaciół, ani Kaherdyna, drogiego towarzysza. Ruszył nędznie odziany, pieszo; nikt bowiem nie zwraca uwagi na biednych łazików wędrujących po gościńcach. Szedł póty, aż doszedł do brzegu morza.

W porcie wielki statek kupiecki gotował się do odjazdu; już majtkowie naciągali żagiel i podnosili kotwicę, aby pomknąć na pełne morze.

– Boże was chroń, panowie, obyście mogli żeglować szczęśliwie! Ku jakiej ziemi płyniecie?

– Do Tyntagielu.

– Do Tyntagielu? Ach, panowie, weźcie mnie z sobą!

Dopada statku. Wiatr pomyślny wzdyma żagle, statek pomyka przez fale. Pięć nocy i pięć dni żeglował prosto do Kornwalii, zasię szóstego dnia zarzucił kotwicę w porcie Tyntagielu.

Poza portem zamek wznosił się nad morzem, dobrze zamknięty ze wszystkich stron; można doń było wejść tylko przez jedną bramę z żelaza, a dwóch czujnych strażników strzegło jej dzień i noc. Jak dostać się do wnętrza?

Tristan zeszedł ze statku i usiadł na wybrzeżu. Dowiedział się od przechodzącego człowieka, że Marek jest w zamku i właśnie podejmuje w nim całe baroństwo.

– Ale gdzie królowa i Brangien, jej piękna służebnica?

– Są także w Tyntagielu, niedawno je widziałem; królowa Izolda zdawała się smutna, jak zwyczajnie.

Na imię Izoldy Tristan westchnął i pomyślał, iż ani chytrą, ani siłą nie zdoła ujrzeć przyjaciółki: kroci Marek zabiłby go...

„I cóż, że mnie zabije? Izold, nie przystałoż mi umrzeć dla twej miłości?! I cóż czynię każdego dnia, jeśli nie umieram? Ale ty, Izoldo, gdybyś wiedziała, że jestem tutaj, żali raczyłabyś bodaj przemówić do przyjaciela? Nie dałabyś mnie wygnąć strażnikom? Tak, chcę ważyć się na podstęp. Przebiorę się za szalonego, a w tym szaleństwie będzie wielka mądrość. Niejeden będzie mnie miał za głupka, który będzie mniej mądry ode mnie, niejeden będzie mnie miał za szalonego, który hoduje szaleństwo pod swym dachem.”

Przechodził mimo rybak odziany w sukmanę z kosmatego samodziału z wielkim kapturem, Tristan widzi go, czyni znak, bierze go na ubocze.

– Przyjacielu, chcesz zamienić się ze mną na suknie? Daj mi swój płaszcz; udał mi się wielce.

Rybak spojrział na suknię Tristana, wydały mu się lepsze niż własne, wziął bez wahania i odszedł szybko, szczęśliwy z zamiany.

Wówczas Tristan wystrzygł piękne jasne kędziory tuż przy głowie, jakoby w znak krzyża. Pociągnął twarz płynem z magicznego ziela, które miał ze swego kraju, i natychmiast kolor i wygląd twarzy odmieniły się tak osobiście, iż żaden człowiek w świecie nie zdołałby go poznać. Wyrwał z żywopłotu gałąź kasztana, uczynił z niej maczugę i zawiesił ją na szyi; po czym bosy ruszył prosto do zamku.

Odźwierny myślał, iż pewnie to jest szalony, i rzekł:

– Zbliż się; gdzież to przebywał tak długo? Tristan zmienił głos i odparł:

– Na weselu opata z Mont, mego kmotra. Ożenił się z przeoryszą, tłustą damulką w kwefie. Z Besancon aż do Mont wszyscy księża, opaci, mnichy i klerycy zjechali się, zaproszeni na weselisko; wszystko, co tylko nosi kostur i pastorał, skacze, igra i tańczy w cieniu wielkich drzew na równinie. Ale opuściłem ich, aby przybyć tutaj; mam bo dziś usługiwać u stołu króla jegomości. Odźwierny rzekł:

– Wejdz tedy, panie, synu Urgana Włochatego; jesteś wielki i kosmaty jak on i dość podobny do ojca.

<sup>17</sup> W czarodziejskim napoju była dla nas śmierć.

(Przeł. Z. Czerny)

Skoro wszedł do ogrodu igrając maczugą, słudzy i giermkowie zastępowali mu drogę szczując jak wilka:

– Widzicie szalonego! Hu, hu, a hu! Rzucając kamienie, nacierają kijami; ale on wymyka się podskakując i zgłębia się nie broni; kiedy go przypierają z lewej, on odwraca się i wali w prawo.

Pośród śmiechu i krzyków, wlokąc za sobą rozigraną cizbę ludu, przybył na próg komnaty, gdzie pod baldakinem, u boku królowej, zasiadał król Marek. Zbliżył się do drzwi, zawiesił maczugę na szyi i wszedł. Król ujrzał go i rzecze:

– Oto mi dobry kompan; dawajcież go bliżej! Wiodą go z maczugą u szyi.

– Przyjacielu, bądź pozdrowiony!

Tristan odparł dziwacznie odmienionym głosem:

– Panie szlachetny i dobry wśród wszystkich królów, mniemałem, iż na twój widok serce moje rozplynie się z czułości. Niech Bóg cię ma w swej pieczy, miły panie!

– Przyjacielu, czegożes przyszedł szukać tutaj?

– Izoldy, którą tak bardzo kochałem. Mam siostrę, którą ci prowadzę, wielce nadobną Brunhildę. Królowa przykrzy ci się, spróbuj innej; uczynimy zamianę: ja ci dam moją siostrę, ty przyzwól mi Izoldę, wezmę ją i będę ci służył z dobrej woli.

Król uśmieł się i rzekł do szaleńca:

– Jeśli ci dam królowę, cóż z nią poczniesz? Gdzie ją zawieziesz?

– Het, w górę, między niebo a chmury, do pięknego domku ze szkła. Słońce przenika go promieniami, wiatry nie mogą nim wstrząsnąć; zaniosę tam królowę do komnaty z kryształu, uwieńczoną różami, całą lśniącą w poranku, skoro słońce na nią padnie. Król i baronowie rzekli między sobą:

– Otoć tęgi szaleniec, bystry zaiste w słowach! Usiadł na kobiercu i patrzył czule na Izoldę.

– Przyjacielu – rzekł Marek – skąd ci się bierze nadzieja, że moja pani zechce popatrzeć na szaleńca szpetnego jak ty?

– Królu, mam prawo po temu; spełniłem dla niej niejedno dzieło i przez nią to popadłem w szaleństwo.

– Któżes ty jest?

– Jestem Tristan, ten, który tak kochał królowę i który będzie ją kochał aż do śmierci!

Na to imię Izolda westchnęła, zmieniła barwę na licu i zgniewana rzekła:

– Idź precz! Kto cię tu wpuścił? Idź precz, nędzny szaleńcze!

Szalony spostrzegł jej gniew i rzekł:

– Królowo Izoldo, żali nie przypominasz sobie dnia, w którym, schorzały od zatrutego miecza Morhołta, wzięwszy swą lutnię na morze, przybiłem do twych brzegów? Tyś mnie uleczyła. Nie przypominasz już sobie, królowo?

Izolda odparła:

– Idź precz stąd, szaleńcze! Ani twoje zabawy nie są mi miłe, ani ty!

Wraz obłąkany obrócił się ku baronom i pędził ich do drzwi krzycząc:

– Precz stąd, szaleńcy! Dajcie mi samemu uradzać z Izoldą; przyszedłem tu, aby jej świadczyć miłość. Król uśmieł się, Izolda szczerwieniła.

– Królu, wygnaj tego szaleńca!

Ale ów odparł, wciąż dziwaczynym, głosem:

– Królowo Izoldo, żali nie przypominasz sobie wielkiego smoka, którego zabiłem na twej ziemi? Ukryłem język w pludrach i zżarły jego trucizną upadłem wpodług bagniska. Był ze mnie wówczas gracki rycerz!... Czekałem śmierci, kiedyś mi przysłała z pomocą. Izolda odparła:

– Milcz, zniewagę czynisz rycerzom, zrodziłeś się bowiem i umrzesz tylko szaleńcem. Przekłęci niech będą żeglarze, którzy cię tu przywiedli zamiast cię wrzucić w morze.

Szalony wybuchnął śmiechem i ciągnął dalej:

– Królowo Izoldo, nie przypominasz sobie kąpieli, w której mnie chciałaś zabić moim mieczem? Opowieści o Złotym Włosie, która cię uśmierzyła? I jak cię obroniłem przeciw marszałkowi dworu o zajęczym sercu?

– Zamilcz, lichy bajarzu! Po co przyszedłeś opowiadać tu swoje majaki?! Upiłeś się wczoraj wieczór, bez ochyby, i pijaństwo zległo w tobie te brednie.

– To prawda, jestem pijany, i takim napojem, iż nigdy to pijaństwo się nie rozproszy. Królowo Izoldo, żali nie pomnisz tego tak pięknego, upalnego dnia na pełnym morzu? Uczułaś pragnienie, nie pamiętaszże tego, córo królewska? Piliśmy oboje z jednego pucharu. Od tego czasu byłem zawsze pijany, i złym pijaństwem...

Skoro Izolda usłyszała te słowa, które ona jedna mogła zrozumieć, ukryła głowę w płaszczu, podniosła się i chciała odejść. Ale król przytrzymał ją za gronostajowy płaszcz i posadził u boku.

– Czekaj trochę, Izoldo miła, iżbyśmy wysłuchali tych błazeństw do końca. Błaznie, jakie rzemiosło potrafisz?

– Sługiwałem królom i hrabiom.

– Bez łgarstwa, umiesz polować z psem, z ptakiem?

– Hej, hej! Kiedy mi przyjdzie ochota zapolować w boru, umiem poszczuć chartami żurawie latające po chmurach, ogarami szare i białe gęsi, gołębie dzikie; sokołem nurki i bąki wodne!

Wszyscy naśmieli się do rozpuku, król zaś spytał:

– A cóż łowisz, bracie, kiedy polujesz na rzeźną zwierzynę?

– Wszystko, co znajdę: białozorami wilki leśne i wielkie niedźwiedzie; krogulcem dziki; sokołami łanie i daniela; krogulcami lisy; zające kobuzami. A kiedy znajdę do kogoś w gościnę, umiem pięknie igrać tą maczugą, rozdawać zarząca głównie między giermków, stroić lutnię i śpiewać przy niej, i miłować królowę, i rzucać na potok wióry misternie strugane. Zaiste, żali nie jestem dobrym minstrelem? Ot, dzisiaj, widzieliście, jako umiem szermować na kije.

I wali maczugą dookoła siebie.

Idźcie stąd – krzyczy – panowie szlachta Kornwalii! Po co was tutaj? Nie pojedliście już? Nie napchaliście bandziochów?

Król ubawivszy się szaleńcem zażądał rumaka i sokołów i wziął na łowy rycerzy i giermków.

– Panie – rzekła Izolda – czuję się znużona i cierpiąca. Pozwól, bym poszła spocząć w komnacie; nie mogę już dłużej słuchać tych szaleństw.

Oddaliła się zamyślona do komnaty, siadła na łóżku i poczęła zawodzić:

– Nieszczęsna! Po cóż się zrodziłam? Serce mam ciężkie i stroskane. Brangien, droga siostrze, życie jest tak dotkliwie i twarde, iż lepsza śmierć! Jest tam szaleniec ostrzyżony w znak krzyża, który w złą godzinę przybył do tego zamku; ten szaleniec, ten kuglarz jest znachorem lub wróżbitą, zna bowiem, godzina po godzinie, istotę mą i życie; wie rzeczy, których nie wie nikt prócz mnie, ciebie i Tristana; zna je, ten włóczęga plugawy, przez czary i uroki.

Brangien odparła:

– Nie byłaby to sam Tristan?

– Nie, Tristan jest piękny i najdzielniejszy z rycerzy; ten zaś szpetny i pokraczny. Niech będzie przeklęty od Boga! Przeklęta niech będzie godzina, w której się urodził, i przeklęty statek, który go przyniósł zamiast utopić w morzu w głębokich falach!

– Uspokój się, pani – rzekła Brangien. – Nadto dobrze umiesz dziś złorzeczyć i przeklinać. Gdzie to nauczyłaś się takiego rzemiosła? Ale może ten człowiek jest posłańcem Tristana?

– Nie zdaje mi się, nie widziałam znaku. Ale idź go odszukaj, miła przyjaciółko, przemów doń, zobaczysz, czy go poznasz.

Brangien udała się do sali, gdzie szaleniec został sam, siedząc na ławie. Tristan poznał ją, upuścił maczugę i rzekł:

– Brangien, luba Brangien, zaklinam cię przez Boga, miej litość nade mną!

– Szpetny szaleńcze, któryż diabeł nauczył cię mego imienia?

– Piękna, od dawna się go nauczyłem! Na mą głowę, która niegdyś była jasnowłosa, jeśli rozum uleciał z tej mózgowicy, to ty, piękna, jesteś tego przyczyną. Czy nie ty miałaś strzec napoju, którego napiłem się na pełnym morzu? Piłem go w wielki upał, w srebrnym pucharze, i dałem pić Izoldzie. Ty jedna wiedziałaś o tym, piękna; żali już nie pamiętasz?

– Nie! – odparła Brangien i pomieszana pomknęła do komnaty Izoldy; ale szaleniec puścił się za nią wołając: „Litości!”

Wchodzi, widzi Izoldę, rzuca się ku niej z wyciągniętymi ramionami, chce ją przycisnąć do piersi, ale ona, zawstydzona, oblana potem przerażenia, wygina się w tył i umyka mu. Widząc, iż unika jego dotknięcia, Tristan drży z upokorzenia i złości, cofa się aż pod ścianę, blisko drzwi, i ciągle zmienionym głosem mówi:

– Wierzę, zbyt długo żyłem, skoro ujrzałem dzień, w którym Izolda mnie odtrąca, nie raczy mnie kochać, czuje wstręt do mnie! Ha, Izoldo, kto dobrze miłuje, nierychło zapomina! Izoldo, piękna to i kosztowna rzecz źródło obfite, które rozlewa się i biegnie szeroką i jasną falą: w dzień, w którym wyschnie, nie jest już warte nic; tak i miłość, która wysycha.

Izold odparła:

– Bracie, patrzę na ciebie, waham się, drzę, nie wiem, nie poznaję Tristana. Królowo

Izoldo, jam jest Tristan, ten, który cię tyle miłował. Nie pamiętaszże Karla, który nasypał mąki między nasze łoża? I jakom skoczył do ciebie, i krwi, która pociekła mi z rany? I podarku, który ci przysłałem, i pieska Milusia z czarodziejskim dzwoneczkiem? Nie pamiętaszże misternie struganych wiórów, które rzucałem do potoku?

Izolda patrzy nań, wzdycha, nie wie, co powiedzieć i co mniemać, widzi dobrze, że przybysz wie wszystko, ale szaleństwem byłoby wierzyć, że to Tristana. Tristan zaś mówi:

– Pani królowo, widzę jasno, że odstrychnęłaś się ode mnie, i obwiniam cię o zdradę. Znałem wszelako, piękna, dni, w których miłowałaś mnie miłością. Było to w głębokim lesie, pod sklepieniem z liści. Pamiętasz jeszcze dzień, w którym ci dałem dobrego psa, Łapaja? Ha, ten zawsze mnie kochał, dla mnie opuściłby Izoldę Jasnowłosą! Gdzie on? Coś z nim uczyniła? On przynajmniej, on by mnie poznał!

– Poznałby cię? Szaleństwo prawisz; od czasu jak Tristan odjechał, leży zagrzebany w budzie i rzuca się na każdego, kto się doń zbliży. Brangien, przyprowadź go!

Brangien przyprowadza psa.

– Pójdź tu, Łapaj – rzekł Tristan – byłeś mój, zabieram cię z powrotem.

Skoro Łapaj usłyszał głos, wydziera smycz z rąk Brangien, pędzi do pana, zwiija się u jego nóg, liże ręce, szczeka z radości.

– Łapaj! – woła szaleniec. – Łapaj, błogosławiony niech będzie trud, który zadałem sobie, aby cię wychować! Zgotowałem mi lepsze przyjęcie niż ta, którą tyle kochałem. Nie chce mnie nawet poznać; czy pozna bodaj ten pierścień, który mi dała niegdyś wśród płaczów i pocałunków, w dzień rozłączenia? Ten pierścień z jaspisu nigdy mnie nie opuścił; często szukałem w nim rady w cierpieniach, często wilżyłem ten zielony jaspis gorącymi łzami...

Izolda ujrzała pierścień. Otwiera ramiona na oścież.

–Otom jest! Bierz mnie, Tristanie!

Wówczas Tristan przestał odmieniać głos.

– Miła, jak mogłaś nie poznać mnie tak długo, dłużej niż ten pies? Co znaczy pierścień? Nie czujesz, iż słodziej byłoby mi być poznanym na samo przypomnienie dawnego miłowania? Cóż znaczy dźwięk głosu? Dźwięk serca winnaś była usłyszeć!

– Miły – rzekła Izolda – może usłyszałam wcześniej, niż myślisz; ale jesteśmy otoczeni zdradą; mogłamż była jak ten pies iść za swym pragnieniem narażając, by cię ujęto i zabito w mych oczach? Strzegłam siebie i strzegłam ciebie. Ani przypomnienie przeszłego życia, ani dźwięk głosu, ani ten pierścień nawet nie dowodzą mi niczego; mogą to bowiem być zdradne igraszki czarownika. Poddaję się wszelako na widok pierścienia – żali nie przysięgłam, iż natychmiast, skoro go tylko ujrzę, choćbym się miała zgubić, zrobię zawsze, co mi każesz, będzieli to rozsądek czy szaleństwo. Rozsądek–li to czy szaleństwo, oto jestem – bierz mnie, Tristanie! Padła zemdlona na pierś przyjaciela. Kiedy przyszła do siebie, Tristan trzymał ją w objęciu, całował oczy i lica. Wchodzi z nią pod zasłonę. W ramionach swych dzierży królowę.

Aby zabawić się szalonym, sługi pomieścili go pod schodami, niby psa w budzie. Cierpiał łagodnie drwiny ich i razy; za to niekiedy, przybierając prawdziwą postać i urodę, przemyczał się ze swego barłogu do komnat królowej.

Ale po upływie kilku dni pokojowe przewąchały zdradę, ostrzegły Andreta, który postawił pod komnatami niewiast trzech bardzo dobrze uzbrojonych szpiegów. Kiedy Tristan chciał przekroczyć próg:

– Precz, szaleńcze – krzyknęli – wracaj ligać na wiązce słomy!

– Jakże to, zacni panowie – rzekł szalony – żali nie godzi mi się dziś wieczór uściskać królowej? Nie wiecież to, że mnie miłuje i czeka na mnie?

Tristan zawinął maczugą; ulękli się i dali mu wejść. Wziął Izoldę w ramiona.

– Miła, trzeba już uciekać, niedługo bowiem odkryją mnie. Trzeba mi uciekać i nigdy pewno nie wrócę. Śmierć moja blisko; z dala od ciebie umrę z mego pragnienia.

– Miły, zamknij ramiona i obłap mnie tak ciasno, iżby w tym uścisku serca nasze rozpekły się i dusze uleciały! Zabierz mnie w kraj szczęśliwy, o którym niegdyś mówiłeś, w kraj, skąd nikt nie wraca, gdzie najwyborniejsi śpiewacy śpiewają pieśni bez końca. Zabierz mnie!

– Tak, zabiorę cię w szczęśliwy kraj Żywych. Czas zbliża się; czy nie wypiliśmy już całej nędzy i całej radości? Czas zbliża się; skoro dopełni się ze wszystkim, jeśli cię zawołam, Izoldo, czy przyjdiesz?

– Miły, zawołaj mnie! Ty wiesz, że przyjdę!

– Miła, niech Bóg cię nagrodzi!

Skoro przekroczył próg, szpiedzy rzucili się ku niemu. Ale szaleniec wybuchnął śmiechem, okręcił maczugą i rzekł:

– Wypędzacie mnie, dobrzy panowie, i po co? Nie mam już co robić tutaj, skoro moja pani posyła mnie daleko, abym zgotował jasny dom, który jej przyrzekłem, dom z kryształu, kwitnący różami, lśniący w poranku, gdy go oświeci słońce!

– Idźże tedy, szaleńcze, na złamanie karku! Słudzy rozstąpili się i szaleniec bez pośpiechu oddalił się tańcząc.

## ŚMIERĆ

*Amor condusse noi ad una morte.*<sup>18</sup>

Dante, Piekło, pieśń V

Ledwie powrócił do Małej Bretanii, do Karhenia, Tristan, śpiesząc z pomocą ukochanemu druhowi Kaherdynowi, wdał się w bitwę z baronem imieniem Bedalis. Wpadł w zasadzkę zastawioną przez Bedalisa i jego braci. Tristan zabił siedmiu braci, ale sam otrzymał ranę od lancy, a lanca była zatruta.

Wrócił z wielkim trudem do karheńskiego zamku i dał sobie opatrzyć rany. Lekarze zbiegli się w wielkiej ciżbie, ale żaden nie umiał wyleczyć trucizny: zgoła jej nawet nie odkryli. Nie umieli sporządzać żadnego plastru, aby wywabić jad na zewnątrz; próżno ubijają i mielą korzenie, zbierają zioła, warzą napoje; Tristan miewa się coraz gorzej, jad rozchodzi się po ciele, on sam blednie i coraz bardziej świeci kośćmi pod skórą.

Uczuł, że życie zeń ucieka. Zrozumiał, że trzeba umrzeć. Wówczas zapragnął ujrzeć Izold Jasnowłosą. Ale jak iść ku niej? Jest tak słaby, iż morze by go zabiło; a gdyby nawet dostał się do Kornwalii, jak umknąć nieprzyjaciołom? Tak lamentuje, trucizna go pożera, czeka śmierci.

Wezwał tajemnie Kaherdyna, aby mu odsłonić swą boleść, miłowali się bowiem wierną miłością. Zażądał, aby nikt nie pozostawał w komnacie, prócz Kaherdyna, i nawet aby nikogo nie było w sąsiednich salach. Izolda, żona prawowita, zdumiewała się w sercu temu osobliwemu życzeniu. Odeszła przestraszona i chciała słyszeć rozmowę. Poszła na dwór przyłożyć ucho do ściany, przy której stało łóżko Tristana. Słucha, a jeden z wiernych stoi na straży, iżby jej nikt nie zaskoczył.

Tristan zbiera siły, podnosi się, opiera o ścianę. Kaherdyn siada obok i obaj płaczą razem w wielkiej czułości! Płaczą po swoim dobrym braterstwie broni, tak rychło przerwany, po swej przyjaźni i swoich miłowaniach; jeden żali się nad drugim.

– Miły, słodki przyjacielu – rzekł Tristan – jestem tu w ziemi cudzoziemskiej, gdzie nie mam krewnego ani przyjaciela, wyjąwszy ciebie; ty jeden w tej krainie dałeś mi radość i pocieszenie. Tracę życie, chciałbym ujrzeć przed śmiercią Izoldę Jasnowłosą. Ale jak, przez jaką sztukę powiadomić ją o mej potrzebie? Ha, gdybym znał posłańca, który by zechciał udać się do niej, przybyłaby, tak bardzo mnie kocha! Kaherdynie, miły druho, przez przyjaźń naszą, przez szlachectwo twego serca, przez nasze braterstwo broni błagam cię: odważ się dla mnie na tę przygodę. Jeśli zaniesiesz jej poselstwo, stanę się twym dozgonnym lennikiem i będę cię miłował ponad wszystkich ludzi.

Kaherdyn widzi, jak Tristan płacze, smuci się, zawodzi; serce w nim mięknie od czułości; odpowiada łagodnie, z miłością:

– Luby towarzyszu, nie płacz już, spełnię wszystko twoje pragnienie. Tak, przyjacielu, dla twej miłości ważyłbym się i na śmiertelną przygodę. Żaden wstręt, żadna męka nie przeszkodzi mi uczynić, co będzie w mej mocy. Powiedz, co chcesz zlecić królowej, a idę gotować się do drogi.

Tristan odpowiedział:

– Przyjacielu, niech cię Bóg nagrodzi! Owóż słuchaj mojej prośby. Weź ten pierścień; to znak między nią a mną. Kiedy przybędziesz do jej ziemi, dostań się na dwór jako kupiec. Przedstaw jedwabne materie, spraw, iżby ujrzała ten pierścień; natychmiast znajdzie jaki podstęp, aby pomówić z tobą na uboczu. Wówczas powiedz, aby wspomniała na minione rozkosze i wielkie niedole, i wielkie smutki, i radości, i słodcze naszej miłości szczerej i czulej. Niech wspomni napój, który piliśmy społem na morzu – ha, to śmierć własną wypiliśmy w pucharze! Niech wspomni przysięgę, którą uczyniłem, iż nie będę miłował nikogo prócz niej: dotrzymałem tej przysięgi. Z tyłu, za ścianą, Izold o Białych Dłoniach usłyszała te słowa, omal nie zemdląca.

– Spiesz się, towarzyszu, i wracaj rychło ku mnie; jeśli się spóźnisz, nie ujrzysz mnie więcej. Daję ci oto czterdzieści dni czasu, abyś przywiózł Izoldę Jasnowłosą. Ukryj wyjazd przed siostrą lub powiedz, że jedziesz szukać lekarza. Siędziesz na mój piękny statek, weź z sobą dwa żagle, jeden biały, drugi czarny. Jeśli przywieziesz królową Izoldę, rozwiń za powrotem żagiel biały; jeśli nie przywieziesz, pomykaj pod żaglem czarnym. Przyjacielu, nie mam ci już nic do powiedzenia; niech Bóg cię prowadzi i wraca cię zdrowym i całym! Wzdycha, płacze i zawodzi. Kaherdyn płacze również, całuje Tristana.

Z pierwszym wiatrem puścił się na morze. Majtkowie wyciągnęli kotwicę, ustawili żagiel, pomknęli z lekkim wiatrem i dziób statku jął pruć wyniosłe i głębokie fale. Wieźli z sobą bogate towary, materie jedwabne, barwione rzadkimi kolorami, piękne naczynia wypalone w Tours, wina z Poitou, białozory hiszpańskie; tą sztuką

<sup>18</sup> Miłość nas śmiercią połączyła w grobie.

(Przeł. E. Porębowicz)

spodziewał się Kaherdyn dotrzeć w pobliże Izoldy. Ośm dni i ośm nocy pruli fale i żeglowali pełnymi żaglami ku Kornwalii.

Gniew niewieści to rzecz straszliwa i niechaj każdy go się strzeże! Kędy kobieta najwięcej kochała, tam też mścić się będzie najokrutniej. Miłość kobiet przychodzi szybko i szybko też przychodzi ich nienawiść; a nieprzyjaźń, skoro raz przyjdzie, dłużej trwa aniżeli przyjaźń. Umieją powściągać miłość, ale nie nienawiść. Stojąc przyłgniona do ściany Izold o Białych Dłoniach słyszała każde słowo. Ona tak kochała Tristana!... Poznała wreszcie jego miłość dla innej! Zapamiętała usłyszane rzeczy; któregoś dnia, jeżeli zdoła, jakże się zemści na tym, którego kocha ponad wszystko w świecie! W tej chwili nie zdradziła się niczym; skoro otwarto drzwi, weszła do komnaty Tristana i ukrywając gniew dalej służyła mu, dogadzała i karmiła, jak przystało szczerzej kochance. Mówiła doń łaskawie, całowała go w usta i pytała, czy Kaherdyn wróci niebawem z lekarzem, który ma go uleczyć... Ale ciągle myśli o zemście...

Kaherdyn nie przestał żeglować, póki nie zarzucił kotwicy w porcie Tyntagielu. Wziął na pięść wielkiego kobuza, wziął sukno rzadkiego koloru, pięknie wyrobiony puchar; uczynił z nich podarek królowi Markowi i poprosił dwornie o przyzwolenie i zgodę, iżby mógł handlować w jego ziemi bez krzywdy od podkomorzycych i wicehrabiów. I król przyzwolił mu wobec całego dworu.

Wówczas Kaherdyn ofiarował królowej misternie wyrobioną klamrę ze szczerzego złota.

– Królowo – rzekł – oto prawdziwe złoto. – Po czym ściągnawszy z palca pierścień Tristana położył go obok klejnotu. – Patrz, królowo, złoto tej klamry jest bogatsze, wszelako złoto pierścienia też ma swoją cenę. Kiedy Izolda poznała pierścień z zielonego jaspisu, serce jej zdrzało, zmieniła się na twarzy. Bojąc się tego, co ma usłyszeć, pociągnęła Kaherdyna na ubocze, blisko okna, jak gdyby chcąc lepiej obejrzeć i stargować pierścień. Kaherdyn rzekł szybko.

– Pani, Tristan leży zraniony zatrutą lancą i ma umrzeć. Przekazuje ci, pani, że ty jedna możesz przynieść mu ratunek. Przypomina wielkie niedole i cierpienia poniesione razem. Zachowaj ten pierścień, daje ci go.

Izolda odparła ślaniając się:

– Przyjacielu, pośpiesz z tobą. Jutro raniem niechaj statek będzie gotów rozwinąć żagle.

Nazajutrz raniem królowa rzekła, iż chce polować z sokołem, i kazała narządzić psy i ptaki. Ale diuk Andret, który ciągle ją szpiegował, towarzyszył jej. Skoro znaleźli się w polu, niedaleko morza, zerwał się bażant.

Andret wypuścił sokoła, aby go ująć, ale czas był piękny i jasny, sokół poszybował i znikł.

– Spójrz, panie Andrecie – rzekła królowa – sokół przysiadł tam w porcie na maszt jakawegoś obcego okrętu.

– Pani – rzekł Andret – to statek kupca z Bretanii, który wczoraj uczynił ci podarek ze złotej klamry. Chodźmyż odebrać sokoła!

Kaherdyn przerzucił deskę na kształt mostku ze statku na brzeg. Wszedł na spotkanie królowej.

– Pani, gdyby łaska, wstąpiłibyście na statek, pokazałbym wam swój bogaty towar.

– Chętnie, panie – odparła królowa.

Zstępuje z konia, idzie prosto ku desce, przebywa ją, wchodzi na statek. Andret chce iść za nią i puszcza się przez deskę; ale Kaherdyn, stojący na kraju pokładu, uderza go wiosłem. Andret chwije się i pada w morze. Chce się ratować, ale Kaherdyn uderza go raz po raz wiosłem, zanurza go pod wodę i woła:

– Umieraj, zdrajco! Oto zapłata za wszystko zło, które przez ciebie wycierpieli Tristan i królowa Izolda!

Tak Bóg pomścił kochanków na zdrajcach, którzy ich tak bardzo nienawidzili! Wszyscy czterej pomarli:

Gwenelon, Gondoin, Denoalen, Andret.

Podniesiono kotwicę, maszt nastawiono w górę, żagiel rozpięto. Świeży wiatr poranny śwista po linach i wzdyma płótna. Statek pomknął het, z portu, na pełne morze, białe i błyszczące w oddali pod promieniami słońca.

A tam, w karheńskim zamku, Tristan usycha. Pożąda przybycia Izoldy. Nic go już nie jest zdolne skrzepić; jeśli żyje jeszcze, to tym, że czeka. Każdego dnia posyła na brzeg, aby śledzić, czy statek wraca i pod jakim żaglem; żadne inne pragnienie nie postanie mu już w sercu. Niebawem kazał się zanieść na urwiska Penmarchu i tak długo, jak długo słońce jaśnieje jeszcze nad widnokregiem, patrzył daleko na morze.

Słuchajcież, panowie, przygody bolesnej i żałośliwej dla wszystkich, którzy kochają. Już Izold zbliża się, już urwisko Penmarchu podnosi się w dali i statek pomyka radośniej. Naraz zrywa się burza, uderza prosto w żagiel i okręca statek. Żeglarze lawirują i wbrew chęci obracają się z wiatrem. Wiatr szaleje, głębokie fale wzruszają się, powietrze zgęszcza się w ciemność, morze czernieje, deszcz wali strugami. Wanty i odchylnice trzaskają, majtkowie spuszczaają żagiel i lawirują wedle zachcenia fali i wiatru. Na swe nieszczęście zapomnieli wciągnąć na pokład barki umocowanej z tyłu statku, która prula fale jego śladem. Fala druzgoce ją i unosi.

Izolda woła:

– Niestety! Ja nieszczęsna! Bóg nie chce, bym żyła dość długo, aby zobaczyć Tristana, mego przyjaciela, raz jeszcze, jedyny raz tylko; chce, bym utonąła w tym morzu. Tristanie, gdybym mogła mówić z tobą jeszcze raz jeden, mało by mi ważyło umrzeć potem! Przyjacielu mój, jeśli nie dobiję do ciebie, to znaczy, że Bóg tego nie

chce, i to moja największa boleść. Śmierć mi jest niczym; jeśli Bóg jej życzy, przyjmę ją, ale ty, miły, skoro dowiesz się o niej, umrzesz, wiem o tym. Takie jest nasze miłowanie, iż nie możesz ty umrzeć beze mnie ani ja bez ciebie. Widzę twą śmierć przed oczyma równocześnie z moją. Niestety, przyjacielu mój, minęłam się z moim pragnieniem: było nim umrzeć w twych ramionach, być pogrzebioną w twojej trumnie; ale minęło nas to! Umrę sama, bez ciebie, zatoną w tym morzu. Może nie dowiesz się o mej śmierci, będziesz żył czekając ciągle przybycia. Jeśli Bóg zechce, ozdrowiesz nawet... Ha, może będziesz po mnie kochał inną kobietę, będziesz kochał Izoldę o Białych Dłoniach! Nie wiem, co z tobą się stanie; co do mnie, miły mój, gdybym wiedziała, żeś zginął, nie przeżyłabym tego. Niech Bóg nam przyzwoli, przyjacielu mój, albo iżbym cię uleczyła, albo byśmy pomarli oboje w tej samej męce!

– Tak jęczy królowa przez cały czas, póki trwało niebezpieczeństwo. Ale po pięciu dniach burza uśmierzyła się. Na samym szczycie masztu Kaherdyn rozpina radośnie biały żagiel, iżby Tristan rozpoznał z daleka swą barwę. Już Kaherdyn widzi wybrzeże Bretanii... Niestety! Prawie natychmiast cisza morską nastąpiła po burzy; morze stało się spokojne i zupełnie gładkie. Wiatr przestał wzdymać płótno i marynarze próżno kręcili żaglem w prawo i w lewo, w przód i w tył. Z daleka widzieli brzegi, ale burza uniosła barcę, tak iż nie mogli lądować. Trzeciej nocy Izolda śniła, iż trzyma na podolku głowę wielkiego dzika, który broczy jej suknie krwią. Poznała stąd, iż nie ujrzy swego przyjaciela żywym.

Tristan był już zbyt słaby, aby czuwać na urwisku. Od wielu dni przykuty do łoża, z dala od brzegu, płakał za Izoldą, która nie przybywała. Zbolały i wyczerpany zawodzi, wzdycha, miota się; mało brak, aby nie umarł od swego pragnienia.

Wreszcie wiatr zrywa się i biały żagiel błyska na widnokręgu. Wówczas Izolda o Białych Dłoniach pomściła się. Przychodzi do łoża Tristana i rzecze:

– Panie mój miły, Kaherdyn przybywa. Ujrzałam statek na morzu; posuwa się z wielkim trudem; mimo to poznałam go; obyż mógł przywieźć coś, co by cię uleczyło!

Tristan zadrżał.

– Pani nadobna, jesteś pewna, że to jego statek? Owoż powiedz mi, jaki na nim żagiel?

– Widziałam dobrze; rozwinęli go i umocowali wysoko, wiatru bowiem mają skąpo. Wiedz, że jest cały czarny.

Tristan obrócił się do ściany i rzekł:

– Nie mogę strzymać życia dłużej. – Rzekł trzykroć: – Izold, przyjaciółko moja!

Za czwartym razem oddał ducha.

Wówczas po całym dworzyszczu zapłakali rycerze, druhy Tristana. Zdjęli go z łożka, wyciągnęli na bogatym kobiercu i okryli ciało całunem.

A na morzu wiatr świstał i dał w sam środek żagla. Przypłynął statek aż do ziemi. Izold Jasnowłosa wysiadła na ląd. Usłyszała wielkie lamenty po ulicy, dzwony bijące w kaplicach i klasztorach. Pyta ludzi miejscowych, czemu te dzwony, czemu te płacze.

Starzec jakiś rzekł:

– Pani, mamy wielką boleść. Tristan, druh nasz szczerzy, dzielny, umarł. Był szczodry dla potrzebujących, usłużny cierpiącym. To największa klęska, jaka kiedykolwiek spadła na ten kraj.

Izolda słyszy, nie może wymówić słowa. Wstępuje ku pałacowi. Kroczy ulicą z rozwiązaną namitką. Bretonowie cudują się patrząc na nią; nigdy nie widzieli kobiety równej piękności. Kto to taki? Skąd przybywa?

Przy ciele Tristana Izolda o Białych Dłoniach, oszalała nieszczęściem, które sprawiła, wydawała wielkie krzyki nad trupem. Druga Izolda weszła i rzecze:

– Pani, powstań i pozwól mnie się zbliżyć. Więcej mam praw opłakiwać go niż ty, wierzaj mi. Bardziej go miłowałam.

Obróciła się ku wschodowi i pomodliła Bogu. Potem odkryła nieco zwłoki, ułożyła się przy nich wzdłuż swego przyjaciela, ucałowała mu usta i twarz i obłapiła go ciasno: ciało przy ciele, usta przy ustach. I tak oddała duszę, umarła przy nim, z boleści po miłym przyjacielu.

Kiedy król Marek dowiedział się o śmierci kochanków, przebył morze i przybywszy do Bretanii kazał uczynić dwie trumny: jedną z chalcedonu dla Izoldy, drugą z berylu dla Tristana. Uwiózł na statku do Tyntagielu umiłowane ciała. Wpodle kaplicy, po prawej stronie absydy, pochował ich w dwóch grobach. Ale w nocy z grobu Tristana wybujał zielony i liściasty głóg o silnych gałęziach, pachnących kwiatami, który wznosząc się ponad kaplicę, zanurzył się w grobie Izoldy. Ludzie miejscowi ucięli głóg: nazajutrz odrósł na nowo, równie zielony, równie kwitnący, równie żywy, i znowu utopił się w łożu Izoldy Jasnowłosej. Po trzykroć chcieli go zniszczyć, na próżno. Wreszcie donieśli o cudzie królowi Markowi. Król zabronił odtąd ucinąć głóg.

Panowie miłoścy, dobrzy rybakowie dawnych czasów, Beroul, Thomas i przewielebny Eilhart, i mistrz Gotfryd opowiedzieli tę opowieść dla tych, którzy miłują, nie dla innych. Przekazują wam przeze mnie pozdrowienie. Pozdrawiają tych, którzy tkwią w zadumie, i tych, którzy są szczęśliwi, nienasyconych i pragnących, tych, co są radośni, i tych, co są stroskani, słowem – wszystkich miłośników. Oby mogli znaleźć tu pociechę przeciw odmienności, przeciw niesprawiedliwości, przeciw urazie, przeciw cierpieniu, przeciw wszystkim niedolom miłowania!...

## **Spis rzeczy**

### **DZIEJE TRISTANA I IZOLDY**

- I. Dzieciństwo Tristana
- II. Morhołt z Irlandii
- III. Szukanie Pięknej o Złotych Włosach
- IV. Napój miłosny
- V. Brangien wydana niewolnikom
- VI. Wielka sosna
- VII. Karzeł Frocyn
- VIII. Skok z kaplicy
- IX. Las moreński
- X. Pustelnik Ogryn
- XI. Szalony Bród
- XII. Sąd przez rozpalone żelazo
- XIII. Głos słowika
- XIV. Dzwonek cudowny
- XV. Izolda o Białych Dłoniach
- XVI. Kaherdyn
- XVII. Dynas z Lidanu
- XVIII. Szaleństwo Tristana
- XIX. Śmierć